Równość

Stowarzyszenie
im. Tadeusza Regera

kwartalnik
nr 3/2023
ISSN 2081-4518

Wieś

2 Na rozstajach — dokąd zmierza polska wieś? *Mateusz Merta*

7 Czy szkoły rolnicze są nam potrzebne? Rozmowa z Ewą i Gabrielą Kołpak *Agnieszka Lamek-Kochanowska*

11 Śląsk Opolski – uratuje nas kultura! O wykorzystaniu lokalnego potencjału kulturowego w rozwoju ekonomii społecznej na terenach wiejskich *Anna Jurczyk-Miżejewska*

15 Urodzone pod ławą – Joanna Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach* *Agnieszka Pietrzak*

19 Kolumbowie z polskiej wsi *Bartosz Klimas*

22 Klątwa, wieś i podglądający sąsiad *Adam Konieczny*

26 Maszyny do myślenia i miejsca do życia. Ekowioski globalnej Północy *Filip Górski*

33 Wojenna rzeczywistość na ukraińskiej wsi *Adrianna Zipper*

38 Recenzja *Nieprzezroczyste* Pajączkowskiej *Dariusz Jakubowski*

Musimy uczciwie przyznać, że numer kwartalnika „Równość" pt. *Wieś*, który trzymacie w rękach, okazał się największym wyzwaniem spośród wszystkich dotychczasowych. Trudno jest bowiem uchwycić temat, kiedy jest on w procesie przemian i chyba nikt nie wie, jaka przyszłość go czeka. Pewne problemy, jakie dotykają wieś, m.in. transport czy rozlewanie się miast, już wcześniej naświetlaliśmy, o wsi pozytywnie pisaliśmy np. w tekście o kołach gospodyń wiejskich czy o tym, dlaczego uciekamy na wieś. Musieliśmy jednak w końcu poświęcić wsi cały numer, tak jak kiedyś miastu. Tak też uczyniliśmy.

Ostatnie miesiące to był gorący czas polityki i wyborów. Wydawać by się mogło, że ktoś w końcu poruszy temat wsi. Z przykrością stwierdzamy, że nawet w programach wyborczych było o tym jakoś cicho. Szukaliśmy więc punktów zaczepienia w literaturze, stąd artykuły odnoszące się do przeszłości: opowieść Bartosza Klimasa o migrujących do Ameryki Południowej chłopach, Dariusza Jakubowskiego recenzja *Nieprzezroczystych* Agnieszki Pajączkowskiej czy tekst Agnieszki Pietrzak o *Chłopkach* Joanny Kuciel-Frydryszak .

Postanowiliśmy też oddać głos osobom ze wsi, dlatego Agnieszka Lamek-Kochanowska porozmawiała z nauczycielką szkoły rolniczej oraz jej córką, przedstawicielką młodszego pokolenia, które ze wsi ucieka; stąd także tekst Adama Koniecznego o jego (z pozoru) nudnej wsi bez rolnictwa.

Z kolei w artykule Anny Jurczyk-Miżejewskiej o ratunku dla lokalności, którego możemy upatrywać w kulturze, prześledzimy historię wsi z jej dzieciństwa.

Filip Górski przeprowadził dla nas bardzo ciekawy wywiad na temat ekowiosek, które wzbudzają dość skrajne emocje. Z jednej strony wpisują się w trendy powrotu do natury i wspólnoty, z drugiej – nie są raczej traktowane poważnie. Rozmowa ta jednak prowadzi do wniosków, które warto przemyśleć.

Nie zapominamy o naszych sąsiadach i o wojnie, która dotyka również wieś, dlatego Adrianna Zipper pisze o *Wojennej rzeczywistości na ukraińskiej wsi* i o tym, czy jest tam bezpieczniej.

Nie mogliśmy nie spróbować zarysować przed wsią kilku scenariuszy jej przyszłości, kilku problemów i być może też gotowych rozwiązań. Otwieramy ten numer tekstem Mateusza Merty, który szuka odpowiedzi na pytanie: *Dokąd zmierza polska wieś?* Bo w końcu od polityków i polityczek oczekujemy trafnej diagnozy i planu na przyszłość.

Mamy nadzieję, że ten numer stanie się źródłem inspiracji do dalszych przemyśleń nad współczesnym obliczem wsi oraz zachętą do szerszej dyskusji na temat jej roli w społeczeństwie, ponieważ tematu z pewnością nie wyczerpaliśmy.

Zapraszamy do lektury!
Katarzyna Gasparska

Mateusz Merta

Na rozstajach – dokąd zmierza polska wieś?

Polska... chłopski kraj! Kościuszko, pańszczyzna, chłopi (małą i wielką literą), powstania, dworkowy romantyzm Pana Tadeusza, miliony osobistych arkadii z dzieciństwa. Temat wsi mamy, zdawać by się mogło, przepracowany. Ale czy na pewno? Wiele z tych arkadii gdzieś nam uleciało. Czujemy zgrzyt między wspomnieniami z dzieciństwa a brakiem rozległych pól pszenicy, domami o styropianowych elewacjach, paczkomatem czy Dino albo Biedronką w centrum. A z drugiej strony to wciąż na wsi poszukujemy spokoju, kontaktu z przyrodą i własnego miejsca poza zgiełkiem miast. Co się stało z polską wsią? W którą stronę zmierza, kto w niej mieszka, jakie jest jej miejsce w świecie? W dobie wielkich przemian warto odpowiedzieć na te pytania, by móc stworzyć wiejskim społecznościom warunki do dobrego życia.

W sieci paradoksów – miasto, wieś, przedmieście

Nad tym, jak bardzo brakuje nam prostych odpowiedzi w dzisiejszym niestabilnym świecie, rozprawiać nie trzeba. Z zatroskaniem przyzna to dziś każda i każdy poświęcający się chlubnej misji popularyzacji nauki. Nie inaczej jest z oceną procesów zmieniających polską wieś. W świecie XIX- i XX-wiecznego uprzemysłowienia kierunek był czytelny: awans leży na miejskim bruku, awans to wyjazd z przeludnionej i ubogiej wsi, nowe domy i ulice, a fabryczne kominy i kopalniane szyby to postęp, życie człowieka nowoczesnego. Ten sposób myślenia oraz masowe migracje w obrębie kraju były nieobce zarówno w Polsce przedwojennej, jak i komunistycznej. Ba! Były nieobce nawet (a może szczególnie) zaborczym kapitalistom rodem z *Ziemi obiecanej*.

Ten świat w dużej mierze zostawiliśmy już jednak za sobą. Dziś relacja między miastem a wsią stała się nieoczywista i wielokierunkowa. Z jednej strony wielkie aglomeracje wciąż wyciągają ze wsi tysiące ludzi, szczególnie młodych, poszukujących okna na świat. Z drugiej – wieś stała się również kierunkiem migrantów miejskich, których zgiełk, pęd życia, anonimowość i przytłaczająca skala konsumpcji w mieście wypychają w podróż ku przestrzeni, spokojowi i „własnemu" miejscu na Ziemi.

Jeśli dwie strony medalu jeszcze niewystarczająco gmatwają sprawę, to nie zapomnijmy wspomnieć, że wieś zbliżyła się do miasta. Jej mieszkańcy tak samo jak mieszkańcy miast żywią się dziś ziemniakami z Egiptu czy ogórkami z Holandii i tak samo przebierają w setkach tysięcy produktów dostępnych na wyciągnięcie ręki w internecie. Przestają uprawiać ziemię i pracować w rolnictwie, a z pomocą środków unijnych w ich gminach stawia się budynki użyteczności publicznej oraz place i chodniki zmieniające tereny wiejskie w niewielkie wyspy miejskiego życia.

Czy migranci z miast docierają zatem na wieś ze swoich wyobrażeń i odległych wspomnień? Trudno powiedzieć, ale jedno jest pewne: w tym gąszczu paradoksów kryje się przyszłość wielu polskich wsi. Część z nich nie odnajdzie jej dla siebie i w całości przeniesie się do wielkich miast, inne zaś staną się arenami konfliktu między przybyszami a autochtonami. Wciąż będą istnieć wsie rolnicze, jednak z rolą uprawianą już nie na 5, 8 czy nawet kilkunastu hektarach ojcowizny, a w ramach ogromnego agrobiznesu stawiającego przed mieszkańcami zupełnie nowe wyzwania. Powstaną wreszcie ciekawe eksperymenty wykorzystujące miejsko-wiejską różnorodność, by przywrócić do życia wiejskość pamiętaną już tylko przez praojców.

Scenariusz I: wieś pusta

Lecz teraz żadna wrzawa ludności
nie głosi,
Wesołego szelestu wietrzyk nie
roznosi,
Nikt nie depcze zarosłych dróg,
śpiesznemi *kroki,*
Zginęły społeczeństwa wesołe
widoki![1]

Nie ulega wątpliwości, że w Polsce po transformacji ustrojowej mamy do czynienia ze wsią kilku prędkości. Od 1989 r. w 41% gmin wiejskich ludności przybyło (głównie w pobliżu największych aglomeracji), a w 53% – ubyło (przede wszystkim we wschodniej i środkowej Polsce). By zrozumieć, jak diametralne są to różnice, wystarczy wspomnieć, że z jednej strony mamy 329 gmin, w których liczba ludności wzrosła o ponad 120% (!), a z drugiej aż 205 gmin, których populacja w ciągu 3 dekad spadła o ponad 80%[2].

To właśnie te ostatnie są przedmiotem scenariusza I. Z gmin wiejskich położonych na tzw. „ścianie wschodniej" oraz na obrzeżach Mazowsza czy województwa łódzkiego wyjeżdża się w poszukiwaniu perspektyw. Nie wprowadzają się do nich miejscy wędrowcy, nie zaglądają turyści, a pola leżą odłogiem. Dlaczego? Bo na roli zdominowanej przez nowoczesne wielkopowierzchniowe rolnictwo nie ma miejsca dla niewielkich rodzinnych gospodarstw zdecydowanie dominujących w pustoszejących miejscowościach. Trudne warunki, złamany duch ludzi, duża odległość do miast i brak nadziei nie przyciągają tych, którzy opuszczają aglomeracje w poszukiwaniu wymarzonej sielanki. Sytuacja jest podobna we wsiach Mazur, Dolnego Śląska czy Wielkopolski, które nigdy nie podniosły się po upadku pegeerowskiej rzeczywistości.

Młodzi nie chcą przywiązywać się do tych skrawków ziemi i opuszczają rodzinne siedliska. Mają zresztą ku temu liczne powody. Polska transformacja to historia załamania się systemu publicznego transportu, a w małych miejscowościach odciętych od bankrutujących PKS-ów rynek nie wypełnił powstałej luki. Bez drogiego w eksploatacji samochodu niemożliwe jest zaspokojenie

Na wsi likwiduje się kolejne placówki szkolne, bo przydzielana „na głowę" subwencja oświatowa nie pozwala na ich utrzymanie. Brakuje żłobków i ginekologów, a w powiecie często nie ma nawet szpitala

1 O. Goldsmith, *Wieś opuszczona*, tłum. L. Kamiński (fragm.), https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wies-opuszczona.html [dostęp: 15.12.2023].

2 J. Wilkin, A. Hałasiewicz (red.), *Polska wieś 2020. Raport o stanie wsi*, Fundacja na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa, Warszawa 2020.

podstawowych potrzeb swoich i rodziny. Podobnie jest z innymi usługami – na wsi likwiduje się kolejne placówki szkolne, bo przydzielana „na głowę" subwencja oświatowa nie pozwala na ich utrzymanie. Brakuje żłobków i ginekologów, a w powiecie często nie ma nawet szpitala.

Przegrani kapitalizmu trwale wpisali się w polską mapę wykluczenia. Patrząc na statystyki, wsie ze scenariusza I czeka nieubłagany koniec. Proces ten można jednak przynajmniej częściowo niwelować i niewątpliwie da się natychmiast poprawić jakość życia osób, które w nich pozostały. Motorem działań powinno być państwo z mądrą polityką spójności. Co można zrobić? Przywrócić lokalne połączenia autobusowe, wznowić połączenia kolejowe do każdego powiatu, kontynuować budowę żłobków w gminach ich pozbawionych, zapewnić dostęp do szerokopasmowego internetu czy inwestować w lokalne społeczności, tj. w odrodzenie spółdzielczości spożywczej oraz we wsparcie dla kół gospodyń wiejskich, ochotniczych straży pożarnych i innych społecznych organizacji. Należy również dofinansowywać lokalną kulturę i tradycję – spoiwa potrzebne dziś rozbitym wspólnotom jak tlen.

Scenariusz II: wieś przybyszów

Nad rzeczką w wilgotnych oparach,
we mgle,
Zasiada z fletnią,
I kwiaty, uśpione w miłosnym
pół-śnie,
W noc budzi letnią[3].

Zjawisko migracji poza miasto jest rozpoznane w debacie publicznej już od dawna. Na co dzień obserwujemy stopniowe rozlewanie się naszych miast na coraz to rozleglejsze przedmieścia. Obecnie wraz z drastycznym przekształceniem charakteru wsi przyległych do miast zjawisko to rozszerza swój zasięg – mieszkańcy centrów i suburbiów przeprowadzają się do wsi jeszcze odleglejszych, ostatecznie (przynajmniej w ich odczuciu) odrzucając miejski czy podmiejski styl życia. Czego poszukują? Ciszy i spokoju, własnego domu, manifestacji społecznego statusu. Wieś kojarzą z naturą, ekoproduktami i zwolnieniem tempa. Kim są? To przede wszystkim przedstawiciele nowej klasy średniej: wykształceni specjaliści, młodzi z kredytem hipotecznym i często małymi dziećmi[4].

Społeczność rozrastających się wsi jest zatem swego rodzaju ludnościową hybrydą. Ci, którzy byli w nich od zawsze, współżyją z ludźmi rozpoczynającymi swoje wiejskie życie, choć mającymi już o nim silne wyobrażenia ze sformułowanymi oczekiwaniami. W tej barwnej mozaice istnieje co najmniej kilka możliwych

3 M. Konopnicka, *Idylla* (fragm.), https://pl.wikisource.org/wiki/Idylla_(Konopnicka,_1915) [dostęp: 15.12.2023].

4 D. Zwęglińska-Gałecka, *Gentryfikacja wsi i jej* zasięg, [w:] „Wieś i rolnictwo" 2(183)/2019, Polska Akademia Nauk, Instytut Rozwoju Wsi i Rolnictwa, s. 57–87.

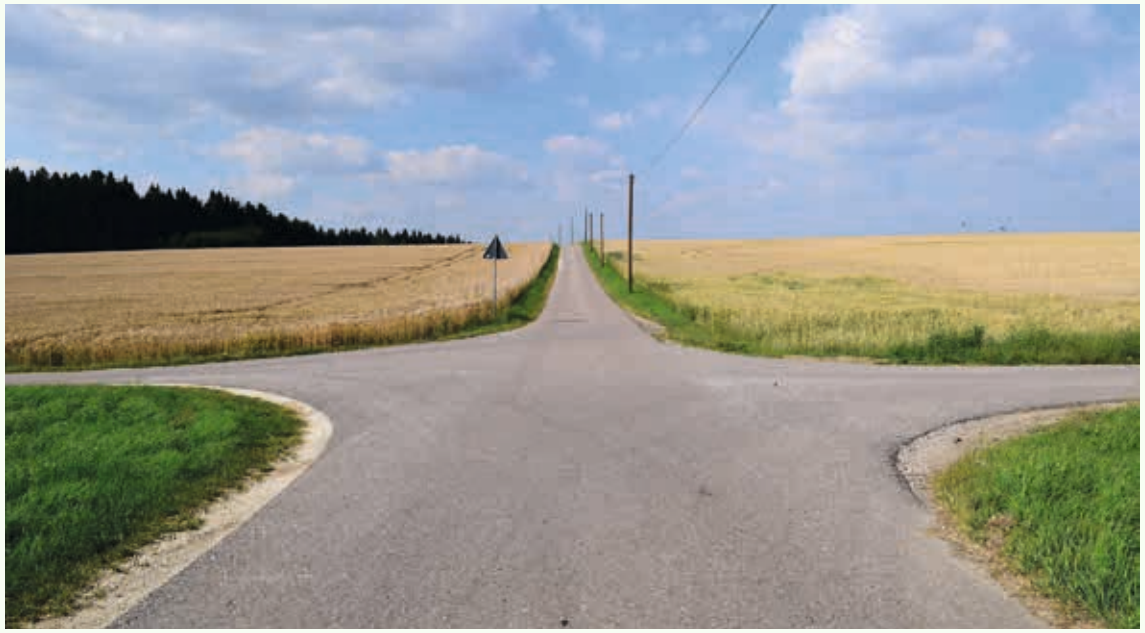

IL: Leopictures z Pixabay

rodzajów przyszłości dla zasiedlanych na nowo wiosek.

Kolonizacja

W debatach o mieście dość dobrze osadziło się już pojęcie gentryfikacji – procesu, w którym wraz z odnawianiem budynków, infrastruktury i układu przestrzennego dzielnicy nadchodzi zmiana sposobu życia w danej okolicy. Przede wszystkim chodzi o zmianę w wymiarze społecznym, bo do odnowionych, droższych nieruchomości wprowadzają się mieszkańcy z odpowiednio wyższym kapitałem.

Podobny proces obserwowany jest dziś na wsi. W środowisku nauk społecznych dyskutuje się już o jej gentryfikacji, gdyż przybysze z miast istotnie zmieniają jej charakter. Według badań przeprowadzonych w mazowieckiej gminie Prażmów wśród przyjezdnych aż 76% ma wykształcenie wyższe, podczas gdy wśród autochtonów procent ten znacząco spada i wynosi 30%. Podobne zróżnicowanie widoczne jest w strukturze zawodowej mieszkańców – wśród nowych sporą przewagę mają specjaliści i pracownicy usług, zaś wśród autochtonów dominują zawody robotnicze i praca w rolnictwie.

Dysponując znacznie wyższym kapitałem społecznym i majątkowym, miejscy przybysze stopniowo wypierają oryginalnych mieszkańców wiosek. W większości gentryfikowanych gmin wraz z nimi pojawiają się deweloperzy i pośrednicy nieruchomości, a zatem rosną także ceny domów i mieszkań. Wznoszona zabudowa nabiera coraz bardziej podmiejskiego charakteru, a działalność gminy podporządkowuje się doprowadzeniu infrastruktury do rosnących jak grzyby po deszczu osiedli. W badanym Prażmowie zmienia się także charakter rynku pracy i lokalnej gospodarki – na znaczeniu traci rolnictwo, pojawiają się nowe, drogie usługi: *Liczne stadniny, prywatna szkoła, kilka prywatnych przedszkoli i żłobków, zakłady kosmetyczne oraz rozwijająca się oferta zajęć dodatkowych dla dzieci i młodzieży* – wylicza w wynikach badania dr. Dominika Zwęglińska-Gałecka.

Choć dostęp do kultury i części usług rośnie (przede wszystkim dla tych, których na nie stać), rozwija się infrastruktura, a globalna sieć konsumpcji staje się coraz bliższa, żadna z grup nie osiąga w tych procesach swoich celów. Przybysze, zamiast znaleźć nowe życie, replikują to, które już znali (czasem

Wieś zbliżyła się do miasta. Jej mieszkańcy tak samo jak mieszkańcy miast żywią się dziś ziemniakami z Egiptu czy ogórkami z Holandii i tak samo przebierają w setkach tysięcy produktów dostępnych na wyciągnięcie ręki w internecie

powracając do życia w mieście i posiadając na wsi „drugie domy" lub pracując zdalnie). Autochtoni zaś powoli osiadają na marginesie przemian – ich styl życia i charakter znanej od dzieciństwa okolicy odchodzą w zapomnienie.

Kohabitacja

Napływ nowych, miejskich mieszkańców nie musi oczywiście działać niczym społeczny buldożer. Wręcz przeciwnie – przybysze, dzięki wnoszeniu różnego rodzaju nowych kapitałów, mogą współtworzyć we wsi będącej celem migracji dobrze funkcjonujące wspólnoty.

Po okupacji, okresie PRL-u oraz dzikiej transformacji lat 90. polska lokalność jest w zasadzie zniszczona. Wiele spośród lokalnych kultur w okresie komunizmu uległo stopniowej, celowo zaplanowanej likwidacji. Świetnym przykładem tego bolesnego doświadczenia jest miejsko-wiejska gmina Wilamowice – miejsce o niemal 700-letnim unikalnym dziedzictwie kulturowym, z własnymi strojami, tradycjami, a nawet językiem, którym dziś włada już niespełna 100 osób. W okresie stalinowskim zakazano kultywowania miejscowych zwyczajów, a w powstałym w 1948 r. Zespole Regionalnym Pieśni i Tańca „Wilamowice" w kujawskich strojach tańczono mazura.

I choć wilamowianie twardo walczą o swoje, w wielu podobnych miejscach lokalna tożsamość już dawno obumarła. Miejscy wędrowcy ze swoją wiedzą, poszukiwaniem identyfikacji oraz społecznym kapitałem mogliby pobudzić społeczność do przywrócenia dawnych tradycji. Nowi mieszkańcy pokazywaliby na nowo autochto-

nom, że symbole, zwyczaje oraz opowieści babek i dziadków to powód do dumy, a ich miejscowość z własnym dziedzictwem stanowi wartość, o którą należy zadbać.

Napływ ludności niekoniecznie musi zmieniać wieś w miejsce trudne do życia. Mądre planowanie przestrzenne, inwestycje społeczne, dbałość o przyrodę i krajobraz, ochrona zabytków czy promowanie lokalnych produktów poprzez wdrażanie strategii „od pola do stołu" mogą przyczynić się do rozwoju gminy bez nadmiernego naruszania jej pierwotnej tkanki.

Przybysze, zamiast znaleźć nowe życie, replikują to, które znali już dotychczas

Scenariusz III: wieś wzrostu

– O, gdybym kiedy dożył tej pociechy,
Że z krajobrazu znikną nędzne strzechy,
Że zgięte plecy rozprostuje wieśniak
I nuta szczęścia zabrzmi w chłopskich pieśniach![5]

Wsie, które „załapały się" na szanse rozwojowe ostatnich lat, bez wątpienia doświadczają dynamicznych przemian społecznych i gospodarczych. Kluczowym powodem tych zmian jest oczywiście przystąpienie Polski do Unii Europejskiej, a co za tym idzie – dostęp polskich rolników do europejskiego rynku i obfite dotacje wypłacane w ramach wspólnej polityki rolnej. Polskie rolnictwo staje się wysoko wyspecjalizowane, schemizowane, zmechanizowane i w konsekwencji wymaga mniejszych nakładów pracy. Przede wszystkim zaś w relacjach ekonomicznych wchodzący na wieś wielki agrobiznes coraz bardziej przypomina potężne kapitalistyczne zakłady.

Na rozwiniętych obszarach wiejskich trudno dziś szukać drobnych rolników indywidualnych, którzy jeszcze 2 dekady temu z Andrzejem Lepperem na czele palili opony i na taczkach wywozili licytujących gospodarstwa komorników. Dziś twarzą buntu wsi jest Michał Kołodziejczak – zamożny przedstawiciel wielkopowierzchniowego rolnictwa.

W tym sposobie modernizacji polskiej wsi tkwi wiele zagrożeń. Choć wydajność rolnictwa wzrasta, a unijne inwestycje zwiększają dostęp do nowoczesnej infrastruktury, rosnące nierówności mogą doprowadzić do pogłębienia obecnych dziś problemów z zaspokojeniem wielu potrzeb. Praca w gospodarstwie to często praca na czarno, bez umów i za niskie stawki. To także ciągłe poczucie porażki, bo lokalny agrobiznes skutecznie uniemożliwia małym rolnikom uczciwą konkurencję.

Podobna sytuacja ma miejsce w innych sferach życia gospodarczego. Poszukując nowych rynków zbytu, sieci supermarketów coraz częściej zaglądają na tereny pozamiejskie. Robiące w tym obszarze prawdziwą furorę Dino, choć mieszkańcom wsi ułatwia dostęp do wielu towarów, zwiastuje jednocześnie kryzys w lokalnej piekarni, na targu, w sklepie mięsnym i wśród małych rolników.

Wieś przed przemianą w nową arenę nierówności może chronić ruch spółdzielczy. Zamiast dominacji wielkiego agrobiznesu możemy promować demokratyczne zrzeszenia małych rolników i spożywców, których zyski nie zostaną wyprowadzone w odległe zakątki globu, lecz pozostaną w lokalnej społeczności. Nie możemy także zapominać o klimatycznym i środowiskowym wymiarze gospodarczych przemian. Wielkie rolnictwo oparte na monokulturach i intensywnym nawożeniu gleby ma bez wątpienia destrukcyjny wpływ na ekosystemy i bioróżnorodność. Być może zróżnicowane, ekologiczne rolnictwo wymagające większej liczby rąk do pracy i zagospodarowania porzuconej dziś ziemi zbliży wieś do osiągnięcia celów zrównoważonego rozwoju.

Rozstaje

Nakreślone kierunki zmian nie opisują zarysowanych wątków w sposób kompletny. Niektóre scenariusze będą się na siebie nakładać, inne ziszczą się jedynie częściowo, a z kolejnych wyłonią się być może zupełnie inne ścieżki rozwoju. Jedno jest pewne: w świecie zmian wieś jak nigdy wcześniej potrzebuje spójnego projektu politycznego. Po co nam wieś? Czy jest w niej możliwe dobre życie? Jak je takim uczynić? Te pytania wymagają dziś pilnej odpowiedzi zarówno ze polityków, jak i całego społeczeństwa. ◆

5 J. Brzechwa, *Notatnik agitatora* (fragm.), https://literatura.wywrota.pl/wiersz-klasyka/25064-jan-brzechwa-notatnik-agitatora.html [dostęp: 15.12.2023].

Agnieszka Lamek-Kochanowska

Czy szkoły rolnicze są nam potrzebne? Rozmowa z Ewą i Gabrielą Kołpak

Spotykamy się w Janowie na Podlasiu, we wsi liczącej prawie 900 mieszkańców. W gminie Janów mieszka 4453 osób i większość z nich utrzymuje się z pracy na roli. Rozmawiamy z Ewą Kołpak, nauczycielką w szkole rolniczej, oraz jej córką Gabrielą Kołpak o szkole i o tym, czy wieś to dobre miejsce do życia, nie tylko dla młodej osoby.

Redakcja „Równości": Szkoła rolnicza to nie tylko ważny punkt na mapie Janowa. To przede wszystkim miejsce, gdzie wprowadza się nowe kierunki kształcenia i rozwija nowoczesną naukę rolnictwa. W jakich zawodach kształcicie młodzież?
Ewa Kołpak: W naszej szkole młodzież kształcimy w 4 zawodach: technik rolnik, technik mechanizacji rolnictwa i agrotroniki, technik żywienia i usług gastronomicznych oraz technik weterynarii. Dodatkowo otworzyliśmy 28-osobową szkołę branżową zawodową. Każdemu uczniowi klasy technikum gwarantowana jest 2- lub 3-tygodniowa praktyka zawodowa w ramach Erasmusa. Dzisiaj widzimy, że klasy kształcące do zawodu rolnika są klasami wygasającymi.

RR: Jaka jest tego przyczyna? Młodzież nie widzi swojej przyszłości w rolnictwie?
EK: Młodzi uważają, że po skończeniu klasy rolniczej nie mają konkretnego zawodu. Zajmowanie się wyłącznie rolnictwem, tzn. siedzenie na traktorze i oranie, jest dla nich zajęciem niewystarczającym. Umiejętność zreperowania, odpowiedniego ustawienia maszyny rolniczej – to dopiero ich rajcuje. Kierunek żywienia i usług gastronomicznych też zaczyna wygasać, coraz mniej jest uczniów się nim interesuje. Powód jest prosty: rynek jest nasycony i mało kto po skończeniu szkoły zostaje w wyuczonym zawodzie.

RR: Od kiedy działa szkoła rolnicza w Janowie?
EK: Pierwsza rada pedagogiczna Szkoły Przysposobienia Rolniczego w Janowie (pod taką nazwą wówczas placówka funkcjonowała) odbyła się 27 października 1959 r., czyli nasza szkoła działa od 64 lat. Na początku szkoła rolnicza działała przy szkole podstawowej. Natomiast Zespół Szkół Rolniczych w Janowie powstał w 1978 r. Od 1 stycznia 2007 r. szkoła nie jest

IL: Archiwum własne

prowadzona przez samorząd powiatowy, ale znajduje się pod nadzorem Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi.

RR: Czy bycie pod nadzorem ministerialnym przynosi szkole korzyść?
EK: Tak. Przede wszystkim szkoła ma bezpośrednie finansowanie z Ministerstwa oraz ze środków unijnych i to jest wygodna sytuacja. Naturalnie wiąże się to z wypełnieniem narzuconych przez Ministerstwo zadań związanych z realizacją wizji dla szkolnictwa rolniczego – jednakową zresztą dla wszystkich szkół rolniczych w Polsce – i rozwoju rolnictwa. Polega to m.in. na tym, że możemy robić nabory do szkoły tylko na określone kierunki. Nie możemy zrobić klasy np. ogólnokształcącej, handlowej czy ekonomicznej.

RR: Ile w Polsce jest szkół rolniczych prowadzonych i nadzorowanych przez Ministra Rolnictwa i Rozwoju Wsi?
EK: Obecnie jest 61[1] i ta liczba rośnie. Samorządy powiatowe o skromnych możliwościach finansowych decydują się na przekazanie prowadzonych przez siebie szkół rolniczych pod skrzydła Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Resort rolnictwa, tworząc sieć szkół o tym profilu, chce ułatwić dostęp do kształcenia rolniczego na wysokim poziomie.

RR: Dlaczego właśnie takie, a nie inne kierunki otwieracie w Waszej szkole rolniczej? Dostajecie w tej sprawie wytyczne z Ministerstwa Rolnictwa?
EK: Ministerstwo nie narzuca nam ani nie sugeruje, jaki konkretnie kierunek powinniśmy otworzyć w szkole [w ramach kształcenia w zawodach określonych rozporządzeniem – przyp. red.]. Sami obserwujemy, co się dzieje i jakie są potrzeby. Widzieliśmy, że w innej szkole wypalił kierunek technik żywienia, to może i my spróbujemy w przyszłym roku uruchomić taką klasę. Jeśli podejrzewamy, że to się sprawdzi, zaczynamy tworzyć tzw. bazę, czyli przygotowujemy budynek na warsztaty, szukamy kadry nauczycieli. Robimy to dużo wcześniej, nim rozpocznie się nauka w szkole. Gdy to osiągniemy, dopiero wtedy organizujemy dni otwarte dla uczniów.

Samorządy powiatowe o skromnych możliwościach finansowych decydują się na przekazanie prowadzonych przez siebie szkół rolniczych pod skrzydła Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi

RR: Czy pomysły na nowe kierunki biorą się stąd, że kadra w szkole rolniczej widzi, jaki zawód będzie potrzebny w najbliższej przyszłości?
EK: Nie, musimy zmieścić się w wytycznych określonych przez Ministerstwo Rolnictwa i nawet jeśli pojawią się u nas pomysły, to oscylują między tymi wytycznymi i realiami. Weźmy np. popularny zawód technik hodowca koni – wiemy, że uda się tylko w Janowie Podlaskim czy w Michałowie. My tutaj nie dysponujemy ani stadniną, ani końmi rasowymi i przede wszystkim nie mamy nauczycieli i instruktorów jeździectwa.

RR: Z tego, co mówisz, Ministerstwo daje szkołom rolniczym dużo swobody w dydaktyce i wprowadzaniu nowych kierunków kształcenia. Który kierunek w Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Janowie cieszy się obecnie największą popularnością?
EK: Obecnie najpopularniejszym kierunkiem jest technikum weterynaryjne. Uczniowie, którzy skończyli „weterynarza", otwierają swoje biznesy albo pracują jako technicy weterynarii. Teraz na wsi jest duże zapotrzebowanie na ich pracę i ich specjalizację w opiece nad zwierzętami hodowlanymi, ale także nad zwierzętami domowymi. Wiąże się to z faktem, iż w naszym regionie są duże gospodarstwa rolne nastawione na hodowlę krów mlecznych i trzody chlewnej oraz spora liczba ferm drobiu. Otwarcie licznych punktów świadczących usługi weterynaryjne wspiera zmianę wiejskiego stosunku do zwierząt domowych: kotów i psów.

RR: Jak szkoła rolnicza buduje relację ze wsią? Co szkoła wsi oferuje?
EK: Przede wszystkim przekazujemy wiedzę, czym dzisiaj jest gospodarka rolna, po prostu zajmujemy się edukacją rolniczą. Prowadzimy też usługi dla rolników w ramach zajęć praktycznych. Szkoła organizuje również Forum Rolnicze, na które zapraszani są producenci maszyn rolniczych, nasion i nawozów. Na stoiska chętnie przyjeżdżają rolnicy miejscowi i z okolicznych gmin, mogą tu zapoznać się z nowinkami i porozmawiać z przedstawicielami firm z kraju, a nawet zawrzeć korzystne transakcje kupna. Forum Rolnicze jest okazją do tworzenia środowiska, dzielenia się wiedzą i umiejętnościami potrzebnymi do budowania gospodarstwa rolniczego. Każdemu Forum towarzyszy temat przewodni, ostatnio np. łąkarstwo czy pszczelarstwo. Nasi nauczyciele prowadzą prelekcje, a uczniowie, którzy odbyli praktyki szkolne za granicą, przedstawiają mieszkańcom swoje osiągnięcia i wiedzę zdobytą podczas wyjazdów. Ostatnio uczniowie z klasy technologia żywienia zaprezentowali potrawy z regionu, gdzie praktykowali, i zaprosili mieszkańców na degustację. Nasza szkoła zaangażowała się w organizowanie konkursu kulinarnego Kół Gospodyń Wiejskich „Bitwa Regionów". Muszę powiedzieć, że dużo się dzieje w Janowie z naszej inicjatywy i bardzo się staramy, aby szkołę rolniczą i jej sukcesy pokazać uczniom podstawówek oraz mieszkańcom całej gminy.

RR: Alarmuje się, że młodzież ucieka do miasta i tylko tam widzi przyszłość. Czy to prawda?
EK: Osób młodych jest coraz mniej na wsi, tak samo jak w mieście. Procesy demograficzne są nieubłagane. W Janowie ci, co poszli do liceum w mieście, raczej nie wracają na wieś. Ci natomiast, którzy podjęli naukę w „rolniku" w Janowie – zostają na miejscu. Znajdują tu pracę, ale większość z nich nie pracuje w zawodach wyuczonych. Ten trend pokazują pilotaże losów absolwentów naszej szkoły, które wykonują doradcy zawodowi na zlecenie MEN.

(Do rozmowy włącza się Gabriela Kołpak, córka Ewy. Po gimnazjum wyjechała do Białegostoku do liceum. Teraz studiuje i pracuje w Warszawie. W Janowie bywa okazyjnie).

GK: Moi przyjaciele i znajomi, którzy wyjechali ze wsi, nie myślą o powrocie. Dla mnie i dla nich wyjazd to awans społeczny. Ja też raczej nie planuję powrotu, przynajmniej teraz. A powody są takie, że nie chcę się odcinać od komfortu, a właśnie to daje mi miejskość, kontakty z różnymi ludźmi, przyjaciółmi. Poza tym wieś nie oferuje możliwości rozwoju zawodowego. Studiuję w Warszawie elektroradiologię i na wsi nie znajdę pracy w zawodzie, no, może w Białymstoku, ale bez samochodu tam nie dojadę. W mojej wsi nie ma żadnej komunikacji, bez auta nigdzie się nie dostanę.

RR: Co by musiało się zmienić, żebyś uznała, że wieś jest dobrym miejscem do mieszkania i życia w ogóle?
GK: Brakuje mnie i moim rówieśnikom sprawczości, wiary, że można coś tu zmienić i zrobić. Jak mój dziadek, który zbudował tutaj dom dla swojej rodziny, wykształcił dzieci i był radnym w gminnym samorządzie. Nikogo z młodzieży nie widzę, aby chciał wyjść naprzód z jakąś propozycją, nikt się do tego nie pcha, a przecież narzekaliśmy, że w Janowie czegoś nie ma i coś by się przydało. A przyczyną takiego stanu rzeczy jest lęk przed oceną moich poglądów i mnie samej, odpowiedzialność za bliskich, którzy tu żyją, i wstyd. I mimo że my, „słoiki", przywozimy na wieś odmienne idee, to zmiany zachodzą tu zbyt wolno. Dlatego liderami na wsi nie są młode postępowe osoby, a starzy konserwatywni politycy. Właśnie to musiałoby się zmienić, abym chciała wrócić do Janowa.

RR: Czy „bycie ze wsi" jest dla Ciebie obciążeniem, czy wartością?
GK: Nie wyobrażam sobie, że mogłabym urodzić się oraz wychowywać gdzie indziej i być tą samą osobą. Tu chodziłam do szkoły i tu mam przyjaciół. Ze wsi pochodzą moi rodzice, dziadkowie i cała rodzina. To właśnie na wsi jako dziecko doświadczyłam swobody i wolności. Dopiero teraz, będąc już na studiach, czuję ciężar wiejskiego pochodzenia. Spośród warszawiaków wyróżnia mnie język i jest mi to wytykane.

RR: Czy Waszym zdaniem wieś się zmienia?
EK: Dzisiejsza wieś nie przypomina tej dawnej. Nie ma już małorolnych rolników, przeciętne gospodarstwo ma wielkość 20 ha. Obecnie na wsi żyje się o wiele lżej. Praca na roli jest zautomatyzowana i zmechanizowana, współczesne rolnictwo nie potrzebuje tak dużo ludzkiego wysiłku jak kiedyś. Liczba rolników zmniejszyła się, ale gospodarstwa się rozszerzają i bardziej przypominają przedsiębiorstwa. Takich dużych gospodarstw nie zakładają osoby napływowe,

1 Wykaz szkół rolniczych prowadzonych i nadzorowanych przez Ministra Wsi i Rozwoju Rolnictwa: https://www.gov.pl/web/rolnictwo/szkoly-rolnicze-prowadzone-i-nadzorowane-przez-ministra-rolnictwa-i-rozwoju-wsi [dostęp: 02.12.2023].

lecz tutejsi, bo gospodarstwa rolnicze nadal są przekazywane z pokolenia na pokolenie. Panuje też taki trend, że mniejsi rolnicy wydzierżawiają swoje hektary sąsiadom, stąd taka duża kumulacja ziemi. Nasza szkoła odpowiada na te potrzeby i kształci głównie rolników obsługujących wielkopowierzchniowe gospodarstwa rolnicze.

GK: Z rozmów z babcią i dziadkiem wiem, że teraz łatwiej żyje się na wsi. Wszystkie potrzebne rzeczy można kupić w sklepie, no i dziadkowie mają emerytury, a co za tym idzie – pieniądze. Sama widzę, że wieś zmieniła się na korzyść pod względem mniejszego obciążenia kobiet pracą. Ale ogólnie rzecz biorąc i z mojej perspektywy wieś nie zmienia się tak bardzo, jak byśmy oczekiwali. Nadal to najstarszy syn dziedziczy ziemię, a młodsze dzieci muszą szukać lepszego życia w mieście. Na gospodarce wciąż wykorzystuje się pracę dzieci, czy to na polu, przy zwierzętach, czy też przy zbieraniu borówek i grzybów. Wszyscy wiedzieliśmy, że życie towarzyskie zaczyna się po 17:00, bo wtedy kończyła się praca rówieśników w gospodarstwie. Wiele moich kolegów i koleżanek z gimnazjum wakacje poznało dopiero, gdy poszli do pracy w mieście. Zmiany na wsi widać z perspektywy usług: teraz mamy 4 sklepy spożywcze, 2 ogromne markety z artykułami przemysłowymi i włoską lodziarnię. Instytucje gminne, np. GOK, rozwijają się i proponują coraz ciekawsze zajęcia, za to do kościoła chodzi coraz mniej osób. Niestety, liczba osób pijących alkohol w sposób niebezpieczny jest niezmienna. Gdy tu przyjeżdżam i patrzę na moich rówieśników, widzę, jak wielu pije alkohol. Nazywam to „wpadnięciem w wiejską ciemność", a wszystko to z powodu rodzinnych i społecznych wzorców, zmęczenia po pracy w gospodarstwie, przeżywanego stresu, niepokoju o swoją przyszłość. Alkohol w naszym życiu pojawia się wcześnie, bo już w gimnazjum. A w szkole nie powiedzieli nam: *Ej, przecież możecie żyć i bawić się inaczej* i nie pokazali, jak to zrobić. Zresztą podobnie jest z edukacją seksualną na wsi – kompletnie leży.

> **Dzisiaj rolnik musi być osobą posiadającą szeroką wiedzę z zakresu ekonomii, planowania zasiewów i hodowli, logistyki i komputeryzacji**

RR: Kim dzisiaj jest rolnik?

EK: Dzisiaj rolnik musi być osobą posiadającą szeroką wiedzę z zakresu ekonomii, planowania zasiewów i hodowli, logistyki i komputeryzacji. Choć gdzieniegdzie pokutuje jeszcze myślenie: *Głupi jesteś, to zostaniesz na wsi i pójdziesz do „rolnika"*, to obecnie ono już śmieszy. Praca w gospodarstwie wymaga bystrości i pomysłowości. Dzisiaj rolnicy siedzą dosłownie z kalkulatorem w dłoni i obliczają, ile i gdzie muszą zasiać odpowiedniej odmiany np. kukurydzy, aby mieć dobre zbiory. Takiego planowania właśnie uczymy młodzież w szkole rolniczej.

RR: Pokutuje przeświadczenie o szkołach rolniczych, zarówno technikach, jak i zawodówkach, że idą do nich „słabsi" uczniowie. A przecież dziś rolnik, jak sama mówisz, musi być nie tylko bystry i pomysłowy, ale też odpowiedzialny za planetę i naszą przyszłość. Rozmawiacie z uczniami oraz rolnikami o zmianach klimatu i wynikających z tego zagrożeniach dla bezpieczeństwa żywnościowego?

EK: Jesteśmy świadomi tych zmian, ale w programie szkolnym mówi się o nich tylko w ramach przedmiotu rolnictwo ekologiczne. Za to na Forach Rolniczych, które są lokalnymi targowiskami wiedzy o rolnictwie, są obecne tematy dotyczące ekologii i zmian klimatu. Rozmawiamy też z rolnikami – mówią, że doświadczają suszy i tzw. słabych zim, dlatego stale dopasowują zasiewy do swoich gleb i klimatu tak, aby były one opłacalne. Firmy zajmujące się nasiennictwem pracują nad modyfikacją roślin, aby przystosować je do nowych warunków. Jesteśmy świadomi, że przed nami wielkie zmiany wymuszone zmianami klimatu.

GK: To, co ja wiem i rozumiem, to fakt, że jest globalne ocieplenie i będzie brakować wody. Ale w gronie przyjaciół nie rozmawiamy, jaka przyszłość nas w związku z tym czeka i czym powinniśmy się zająć.

RR: Dziękujemy za rozmowę. ◆

Ewa Kołpak – *nauczycielka języka rosyjskiego i polskiego w Zespole Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Janowie. Uczy także przedmiotów zawodowych.*

Anna Jurczyk-Miżejewska

Śląsk Opolski – uratuje nas kultura! O wykorzystaniu lokalnego potencjału kulturowego w rozwoju ekonomii społecznej na terenach wiejskich

Opolska wieś to marka regionalna. Już kilkanaście lat temu twórcy strategii regionalnej zauważyli, że wieś ta jest inna w porównaniu z pozostałymi regionami – jest (wzorem niemieckim) ułożona. Czysta, ostrzyżona jak od linijki, zadbana, harmonijna. Poza specyficzną przestrzenią ma też niezwykłe zasoby kultury niematerialnej, często wymagające odkrycia, dogłębnego zbadania, wypromowania i upowszechnienia. I trzeba to zrobić szybko, nim znaczna część wsi wyludni się lub całkowicie zmieni swoje funkcje społeczno-ekonomiczne, przemieniając się w wieś sypialnię.

Mam taki obraz mojej wsi z dzieciństwa: jest czas przedświąteczny. Panuje sroga zima, cała droga jest pokryta ubitym, zamarzniętym śniegiem. Jeździmy po ulicy na łyżwach. Jest bezpiecznie, bo aut we wsi nie ma za wiele. Bawi się nas całe stado, w każdym domu w sąsiedztwie mieszka po 3–4 dzieci w różnym wieku. Rytm

Obecnie są wsie, na których nie ma żadnych zwierząt gospodarskich, a mieszkające tam dzieci nie wiedzą, jak wygląda krowa

roku wyznaczają przyroda, szkoła i kościół. Nie ma nudy, nawet zimą; świetlica wiejska nie należy do najlepiej wyposażonych, ale zawsze jest w co pograć – są stoły do tenisa, gry planszowe, paletki. Szkoła organizuje jasełka, przebieraną zabawę karnawałową w styczniu, wycieczki, zajęcia dodatkowe takie jak teatr czy gimnastyka. Są też wyjazdy do gminy na różne przeglądy artystyczne. Sołectwo robi zabawy, kuligi, paczki. Kościół wymaga stawienia się co tydzień na mszy, sprzątaniu, koncertach, pasterce. Dodatkowo jest praca w domu, harcerstwo, pomaganie mamie w pracy społecznej sołtysa, np. roznoszeniu podatków, kumple, babcie, samotne sąsiadki, którym trzeba pomóc, bo później one pomagają nam. Są 3 sklepy, knajpa, stołówka, 2 dość spore zakłady pracy, w tym PGR, stadion, na którym co tydzień odbywa się mecz piłki nożnej, bo aktywnie działa Ludowy Zespół Sportowy (LZS). Są hodowcy gołębi. Wieś dzieli się na „wioskę" i PGR. Są rolnicy, są zwierzęta gospodarskie. Jest życie!

Ten obrazek to niedaleka przeszłość. Jeszcze 30 lat temu tak wyglądała przeciętna wieś na Opolszczyźnie. Obecnie są wsie, na których nie ma żadnych zwierząt gospodarskich, a mieszkające tam dzieci nie wiedzą, jak wygląda krowa. Być może to tylko sentyment, jakieś przemiłe wspomnienia, które obraz ówczesnej wsi pozytywnie przekonstruowały, ale sentyment to odczucie, a utrata funkcji społeczno-gospodarczych wsi to fakt. I to drugie potwierdzają obserwacje, badania i statystyki.

Zamykanie szkół, zanikanie kultury

Czy za wymieranie opolskiej wsi można winić tylko demografię? Osobiście uważam, że nie to jest największym problemem, bo ludzie przychodzą i odchodzą, ale jeśli we wsi nie ma szkoły, świetlicy, knajpy, sklepu, aktywnych organizacji, transportu publicznego czy biblioteki, to można tam tylko spać. W mojej wsi, porównując do przeszłości, został już tylko kościół i zamknięta na cztery spusty świetlica. Ładna, wyremontowana i pusta. Podobnie jest z siłownią zewnętrzną – użytkowników brak. Co zatem poszło nie tak?

Od wielu lat państwo wycofuje się ze wsi. Tylko w latach 2016–2022 zlikwidowano w Polsce 449 szkół podstawowych, głównie w małych gminach wiejskich, które nie były w stanie utrzymać placówek. Dramatyczny niż demograficzny spowodował, że na 3 wsie, które korzystały ze szkoły w mojej wsi, naukę rozpoczęło 2 dzieci (rocznik 1995). Były to lata,

IL: Gogolin, Gminne Centrum Kultury, pomnik śląskiej kroszonki, Kamil Czaiński

w których gmina rozpoczęła proces likwidowania wiejskich szkół. Z 7 placówek wiejskich zostały 3 – jedną uratowało stowarzyszenie rodziców, drugą – przepisy o szkołach mniejszościowych (rodzice zadeklarowali pochodzenie niemieckie), a trzecia przejęła uczniów z zamykanych placówek w najbliższych miejscowościach. Powodem likwidacji były oczywiście kwestie finansowe: mniejsza liczba dzieci to mniejsza subwencja, a koszty wynagrodzeń i utrzymania drastycznie wzrastały. Przerzucenie odpowiedzialności za utrzymanie szkół na gminy i powiaty, którego dokonano w 1995 r., było gwoździem do trumny systemu edukacji. I początkiem końca życia społecznego na wsi.

Wraz z zamknięciem szkoły zniknęli animatorzy kultury, jakimi byli nauczyciele. Zniknęły połączenia autobusowe, a później i prywatne linie busów. Zniknął LZS, bo młodzi wyjechali i nie miał kto grać. Po kolei zaczęły znikać sklepy, knajpa, a na końcu zamknięto ogólnodostępną świetlicę. A kiedy nie ma miejsc spotkań, to nie ma integracji. Zniknęli ludzie, miejsca i wydarzenia – najważniejsze zasoby kulturowe.

Dziedzictwo kulturowe wsi, czyli jak tradycja może wspierać rozwój

Antropolożka Katarzyna Hełpa-Liszkowska wskazuje, że korzystne zmiany i rozwój, który podnosi konkurencyjność obszaru, to m.in. efekt wykorzystania lokalnych zasobów kulturowych: *To właśnie kultura warunkuje w znacznym stopniu dynamikę i kierunek rozwoju gospodarczego. Natomiast pomijanie różnych aspektów kultury w rozwoju społeczno-ekonomicznym może prowadzić do alienacji jednostek i zbiorowości czy niebezpiecznych zjawisk dezintegracji społecznej i zaburzenia ładu społecznego, a co za tym idzie, osłabić tempo i skalę rozwoju danego obszaru*[1]. I właśnie te zasoby kulturowe, które zgubiliśmy, mogą stać się podstawą powstawania i rozwoju przedsiębiorczości społecznej. Przedsiębiorczości, której celem jest chronić dziedzictwo, dawać pracę „na miejscu", budować lokalny patriotyzm, integrować ludzi zarówno społecznie, jak i zawodowo oraz przywrócić miejscom duszę.

Władze województwa opolskiego z pewnością zdają sobie z tego sprawę, prowadząc szereg działań wspierających m.in. podmioty ekonomii społecznej w wykorzystywaniu dziedzictwa do celów ekonomiczno-społecznych. W przytoczonym artykule Hełpa-Liszkowska wspomina o konferencji w Tyńcu (2010 r.), podczas której prof. Jerzy Hausner sformułował 12 tez dotyczących dziedzictwa kulturowego i jego wykorzystania w procesie rozwoju regionalnego. Warto przywołać kilka z nich wraz z konkretnymi przykładami z Opolszczyzny.

Dziedzictwo kulturowe to rzecz do „myślenia", nie tylko do „konserwacji"; przemyślenie i interpretacja są niezbędne, aby trwało i rozwijało się. Na krajowej liście niematerialnego dziedzictwa kulturowego jest 11 tradycji z naszego regionu. Wzór opolski czy hafty opolskie są zarówno kultywowane w wersjach tradycyjnych, jak i interpretowane na nowo za sprawą takich projektów jak „Etnodizajn a wzory regionów". Korzystają na tym głównie koła gospodyń wiejskich, którym tradycje te dostarczają inspiracji i motywacji do działań na rzecz kultury wsi. KGW Dobrzenianki na przykład aktywnie promuje edukację zielarską i ziołoleczniczą, a wiele KGW na Opolszczyźnie regularnie organizuje Babski Comber.

Rozbudzanie kulturowych potrzeb wymaga stworzenia warunków wyboru, pokazywania różnych sposobów zaspokajania potrzeb i różnych wzorów. Projekty realizowane w ramach programu „Edukacja kulturowa Opolszczyzny – EDUKO" miały na celu stworzenie warunków do współpracy różnych podmiotów zajmujących się kulturą ze szkołami. Dlaczego? Ponieważ diagnoza poprzedzająca program wskazała, że największym wyzwaniem jest zachęcenie młodzieży do samodzielnego i aktywnego uczestnictwa w kulturze. Dzięki tej akcji zaangażowano szkoły w małych miejscowościach w różne aktywności na rzecz kultury. Moja organizacja 3 razy realizowała projekty EDUKO, prowadząc w szkole zajęcia i warsztaty o różnej tematyce: historycznej i etnograficznej. Bo kultura jest interdyscyplinarna i wiele tematów można w tych projektach zmieścić.

Potrzebne są wielowątkowe wydarzenia o synergicznych efektach, łączących różne elementy dziedzictwa. Takim wielowymiarowym działaniem jest niewątpliwie szlak dziedzictwa kulinarnego „Opolskie ze smakiem". Łączy się tu kulturę kulinarną z turystyką, animacją społeczną, wielofunkcyjnym rozwojem obszarów

1 K. Hełpa-Liszkowska, *Dziedzictwo kulturowe jako czynnik rozwoju lokalnego*, „Studia Oeconomica Posnaniensia" 2013, vol. 1, nr 6, s. 16.

wiejskich, budowaniem więzi pomiędzy samorządem województwa i uczestnikami szlaku, a przede wszystkim wspiera się małą i średnią przedsiębiorczość. „Opolskie ze smakiem" to idea, w którą chętnie zaangażowały się podmioty społeczne, działające w zakresie gastronomii, turystyki, promocji regionu, produkcji i handlu żywnością, integracji społeczno-zawodowej. Kuchnia zawsze łączyła ludzi i wykorzystanie jej do integracji regionu jest genialnym pomysłem.

Brak poczucia tożsamości to brak więzi z miejscem, w którym się żyje, niezrozumienie, zanikanie więzi społecznych, a często emigracja

Turystyka społeczna a tożsamość regionalna

Lokalny potencjał kulturowy może być podstawą do tworzenia ośrodków turystyki społecznej, integrujących mieszkańców, władze samorządowe i przedsiębiorców. Turystyka społeczna to idea, zgodnie z którą absolutnie każdy człowiek powinien móc podróżować. Stąd ma być dostępna finansowo i architektonicznie oraz dostosowana do szczególnych potrzeb – wad wzroku, słuchu, różnych możliwości intelektualnych, psychicznych i fizycznych. I to jest strona popytowa turystyki społecznej. Ma ona też drugą stronę, podażową. Podmioty turystyki społecznej są najczęściej prowadzone przez miejscowe organizacje i spółdzielnie, co przekłada się na rozwój lokalny – za sprawą nie tylko organizowania miejsc pracy dla osób zagrożonych wykluczeniem (a takimi są mieszkańcy wsi), ale także przywracania życia społeczno-kulturowego na terenach, gdzie go brakuje. Przykładem mogą tu być 3 przedsiębiorstwa społeczne, działające na obszarach wiejskich powiatu kluczborskiego.

Spółdzielnia Socjalna „GRÓD" została założona przez 2 stowarzyszenia i gminę. W 2014 r. otrzymała w zarząd gród rycerski, który został wybudowany ze środków unijnych. Gród mieści się nad zalewem Brzózki, na styku wsi Biskupice i Polanowice. Spółdzielnia nie tylko zatrudnia osoby wykluczone społecznie i zawodowo, np. takie, które podjęły pracę pierwszy raz w życiu w wieku 50 lat, ale także zajmuje się turystyką społeczną, organizując kolonie i obozy rycerskie. Noclegi w grodzie są przystępne cenowo, a sama jego lokalizacja spowodowała, że zaczęły na tym terenie powstawać mniejsze inicjatywy rekreacyjne i wypoczynkowe.

Spółdzielnia Socjalna „Perunica" od 2014 r. prowadzi punkt informacji turystycznej w Byczynie, samodzielnie go finansując z działalności odpłatnej, nieodpłatnej i gospodarczej. Wraz z punktem powstał Welesowy Kram, w którym sprzedawane są produkty lokalne, regionalne i tradycyjne, pamiątki z regionu, unikatowe rzemiosło i sztuka. Spółdzielnia jest animatorem życia kulturalnego, od lat organizując wycieczki, wizyty studyjne, koncerty, imprezy. Przez 4 lata, do pandemii, Perunica prowadziła też Karczmę Spichlerz. Było to nie tylko klimatyczne miejsce spotkań społeczności lokalnej, ale też centrum alternatywnej kultury. Święto Świec, Dziadowskie Party, Soplicowo czy Noc Świętojańska to tylko niektóre z wydarzeń organizowanych w trakcie roku. Najważniejsze jednak w Spichlerzu było jedzenie – oparte na tradycyjnych przepisach z Opolszczyzny oraz Kresów Wschodnich, z których przybyła znaczna większość obecnych mieszkańców północnej części regionu. Dziedzictwo kulinarne stało się inspiracją do wielu projektów promujących i odtwarzających przepisy z przeszłości, co było okazją do integracji i budowania tożsamości lokalnej.

W dziedzictwie kulinarnym specjalizuje się też **Spółdzielnia Socjalna „Ad Metam"**. Podmiot ten wynajął od gminy Kluczbork podupadającą restaurację w Ośrodku Rekreacyjnym w Bąkowie i zorganizował tam Akademię Kulinarną. Kucharze tej spółdzielni nie tylko znają się doskonale na żywności tradycyjnej, ale także promują produkty lokalne, wykorzystując je na warsztatach, kolacjach degustacyjnych i eventach branżowych. Idea jest taka: ktoś, kogo na to stać, płaci za luksusową kolację degustacyjną, a wypracowane w ten sposób zyski spółdzielcy przeznaczają np. na warsztaty kulinarne dla wychowanków domów dziecka. Bo żywienie to podstawowa kompetencja społeczna, którą warto pielęgnować, żeby być zdrowym i wspierać lokalnych producentów żywności.

Opisane spółdzielnie jako podstawę działalności przyjęły dostępne zasoby kulturowe, a tworząc produkty i usługi oparte na lokalnym dziedzictwie, promują zarówno siebie, jak i cały region. Bogactwo kultury opolskiej jest bowiem ogromne i wciąż nieodkryte. W północnej części województwa, na terenach Byczyny, które do 1945 r. były niemieckie, do dziś odkrywane są dokumenty, książki, artykuły, baśnie i legendy. Każdy kolejny znaleziony dokument niesie ze sobą jakąś historię, jakiś pogląd na ówczesną rzeczywistość, spojrzenie z czyjejś perspektywy. Uzyskujemy informacje o obchodzonych świętach, zwyczajach, o tym, co jedzono od święta, a co w dni powszednie. Poznajemy historie budynków, ludzi i wydarzeń. Pozwala to nie tylko tworzyć produkty i usługi, ale również budować tożsamość.

Wsie północnej Opolszczyzny mają problem z tożsamością regionalną. Ciężko doszukiwać się repatriantom ze Wschodu związków z terenami, które przez ostatnie kilkaset lat były niemieckie. Brak poczucia tożsamości to brak więzi z miejscem, w którym się żyje, niezrozumienie, zanikanie więzi społecznych, a często emigracja. Ludzie nie muszą wyjeżdżać na stałe, żeby w regionie dało się zauważyć zapaść. Zaniechanie działań zmierzających do budowania lokalnej tożsamości prowadzi w dłuższej perspektywie do szeregu negatywnych zjawisk, w tym – depopulacji. Bo kiedy nie ma dokąd pójść, kiedy nie ma się w czym zakotwiczyć, to wyjeżdża się poza wieś, miasto, region... i tam życie wydaje się ciekawsze. ◆

Agnieszka Pietrzak

Urodzone pod ławą – Joanna Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*

Kilka lat temu do jednego z pierwszych numerów „Równości" pisałam o książce Joanny Kuciel-Frydryszak *Służące do wszystkiego*[1]. Pamiętam tamtą lekturę jako ponurą i trudną. Służące w międzywojennych polskich domach (które już w tytule nazwałam niewolnicami[2]) harowały po kilkanaście godzin dziennie, marzły, bywały głodne, bite, molestowane, wyzbywały się własnych imion, życia prywatnego i nieślubnych dzieci, a chore, stare lub z jakiegokolwiek innego powodu nieprzydatne – lądowały na ulicy. A jednak dla dziewczyn ze wsi to wciąż była szansa i wiele z nich, nawet jeśli nie trafiło zbyt dobrze, wolało ciężką służbę w mieście niż powrót do rodzinnej chałupy. *Przy odrobinie szczęścia miały nie tylko własne łóżko, ale nawet pokoik, służbówkę* – mówi Kuciel-Frydryszak[3].

O kobietach, które o własnym łóżku mogły tylko pomarzyć, traktuje kolejna jej książka: *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*[4].

Jako to bydlę, jarzmem przygięte do ziemi, żyjesz

Czego jeszcze brakowało naszym babkom? Na pewno dzieciństwa takiego, jak je rozumiemy dziś. Już kilkulatki musiały zajmować się młodszym rodzeństwem, pomagały w domu i w polu, były też wysyłane na „pasionkę", czyli do pilnowania pasących się krów, gęsi czy innych zwierząt hodowlanych. W gospodarstwie liczyła się każda para rąk do pracy, co z kolei utrudniało lub wręcz odbierało wiejskim dzieciom możliwość edukacji. Mało kto kończył 6 klas szkoły powszechnej (wymaganych do dalszego kształcenia), bo na wsi takich szkół po prostu nie było. Większość uczniów i uczennic poprzestawała na 4 klasach, a i to nie było oczywiste, ponieważ zwolnienie z obowiązku szkolnego dało się łatwo uzyskać z powodu choroby czy biedy. Według danych ze spisu powszechnego z 1931 r. w II Rzeczpospolitej 32,3% mieszkanek i 26,9% mieszkańców wsi było analfabetami (w mieście odpowiednio 14,6 i 12%)[5].

Dorosłe życie bynajmniej nie oferowało chłopkom więcej swobody i szans na poprawę swojego losu. Nie mogły decydować o tym, za kogo wyjdą za mąż; ślub wciąż był transakcją i trudno nawet powiedzieć, by panna młoda (często jeszcze nastolatka) stanowiła jej przedmiot – odgrywała raczej rolę dodatku do 3 morgów ziemi albo cielaka. Nie było mowy o jakiejkolwiek intymności, gdyż cała rodzina mieszkała w jednej izbie, w niej poczynały się i przychodziły na świat dzieci, a część z nich

1 J. Kuciel-Frydryszak, *Służące do wszystkiego*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018.

2 A. Pietrzak, *Niewolnice II RP. Joanna Kuciel-Frydryszak „Służące do wszystkiego"*, „Równość" nr 2/2019.

3 O. Długołęcka, *Ciarki mi przechodzą, gdy słyszę, że kobieta jest „niedoinwestowana". Same hrabiny i hrabiowie wkoło*, https://weekend.gazeta.pl/weekend/7,177333,29767346,ciarki-mi-przechodza-gdy-slysze-ze-kobieta-jest-niedoinwestowana.html [dostęp: 2.09.2023].

4 J. Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023. Jeśli nie zaznaczono inaczej, stąd pochodzą cytaty w tekście.

5 https://www.polskieradio.pl/39/156/artykul/2399329,walka-z-analfabetyzmem-w-ii-rzeczpospolitej-infografika [dostęp: 2.09.2023].

tam też umierała – 20% dzieci w międzywojennej Polsce nie doczekało pierwszych urodzin. Wysokie ryzyko przedwczesnej śmierci dotyczyło również ich matek – rodzące wiejskie kobiety nie znajdowały się pod opieką lekarzy ani wykwalifikowanych położnych, tylko tzw. babek. A rodziły często. Jeśli chłopka zmarła przy swoim 5. czy 8. porodzie, wdowiec szybko znajdował sobie nową żonę (mogła to być np. siostra nieboszczki), żeby było komu zająć się dziećmi. Jeżeli przeżyła, po kilku dniach, jeszcze w połogu wracała do zwykłych obowiązków.

Podział pomiędzy zajęciami „męskimi” a „niemęskimi” był wyraźnie zaznaczony, przy czym kobieta pomagała ojcu lub mężowi w polu, natomiast chłop wykonywania „babskiej roboty” odmawiał

Praca była codziennością wszystkich mieszkańców wsi: ludzi i zwierząt, dorosłych i dzieci, najbiedniejszych i tych bogatszych, mężczyzn i kobiet… szczególnie kobiet. Zgodnie z relacjami przesłanymi przez same zainteresowane do „Głosu do Kobiet Wiejskich” w 1928 r. pracowały one nawet po 18 godzin dziennie; według danych zebranych przez inżyniera Jana Curzytka na swoje obowiązki poświęcały ponad 15% więcej czasu niż mężczyźni. Podział pomiędzy zajęciami „męskimi” a „niemęskimi” był wyraźnie zaznaczony, przy czym kobieta pomagała ojcu lub mężowi w polu, natomiast chłop wykonywania „babskiej roboty” odmawiał. A zatem chłopka wstawała przed wszystkimi domownikami, i to zwykle przed świtem. Zajmowała się dziećmi i domem, gotowała dla ludzi i zwierząt, nosiła wodę w wiadrach, prała (oczywiście ręcznie, w rzece czy strumieniu), oporządzała trzodę i drób, pracowała na roli, chodziła pieszo, zwykle wiele kilometrów po zakupy lub żeby coś sprzedać, przędła i tkała. Przy tym wszystkim często nie dojadała i nie wypoczywała niemal wcale – czas wolny dla ludu został wynaleziony nieco później. Miało to oczywiście swój koszt: *Praca ta rozpoczyna się od wyjścia ze szkoły, a kończy się śmiercią. (…) Pewna mała część kobiet dobrze rozwija się fizycznie, większość szybko słabnie i marnieje. Często też spotyka się kobiety wiejskie trzydziestoletnie o wyglądzie staruszki*[6]. Mozolna, ciężka, nieustająca praca wyznaczała rytm dnia, stanowiła istotę życia, ale niekoniecznie – jak to bywa teraz, w porządku kapitalistycznym – powód do dumy czy fundament tożsamości. Chłopka nie mogła jej wybrać i nie mogła jej uniknąć.

Orzesz żywota rolę i płacz zasiewasz

Nakreśliłam mniej więcej ramy życia kobiety na wsi, czas na wypełnienie ich detalami. Po pierwsze: buty. Kuciel-Frydryszak pisze, że na zdjęciach szkolnych z tamtych czasów to po butach można rozpoznać, w jakim regionie fotografia została zrobiona – jeśli żaden przedstawiony na niej uczeń nie jest boso, mamy do czynienia ze Śląskiem albo z zachodem Polski. Gorzej, jeśli brak obuwia uniemożliwiał dotarcie do szkoły. Małą Jadwigę Szkrabę, jedną z bohaterek *Chłopek*, na lekcje przynosił w tobołku starszy brat. Zresztą nawet jeśli miało się buty, często były one zbyt cenne, by je marnować na zwykłe chodzenie. Brytyjski turysta, który w latach 30. dotarł na polską wieś i opisał później swoje wrażenia w „Timesie”, wspominał chłopów zmierzających co niedzielę do kościoła z butami w rękach. Podobny obraz pojawia się w książce Tomasza Markiewki *Nic się nie działo*[7] – jego babcia Anna przed wejściem do szkoły obmywała brudne stopy w pobliskim potoku i dopiero wtedy wkładała buty, „żeby nie wyjść na obdartusa”. Chodzenie boso było niezdrowe i przykre, ale w tym świecie obuwie czy może przede wszystkim jego brak stanowiły o statusie człowieka. W wielu opowieściach kobiet o wyrwaniu się do miasta, awansie społecznym, poprawie losu – czy w *Chłopkach*, czy w historii Anny Markiewki – moment zakupu nowych butów jest wyraźnym znakiem zmiany. Jak pisał Ryszard Kapuściński: *Marzę o butach mocnych, masywnych, podkutych, które uderzając o bruk, wydają głośny, wyrazisty odgłos. (…) Mieć mocne buty znaczyło być mocnym, a nawet po prostu być*[8].

Po drugie: ziemniaki. Wiejskie kobiety sprzedawały na targu jaja i sery, same jednak rzadko je jadały; hodowały krowy, świnie, króliki, kury i gęsi, ale mięso pojawiało się na ich stołach kilka razy do roku. Podstawę diety stanowiły ziemniaki: *Bogaci chłopi na Pomorzu zjadają ich 422 kilogramy rocznie (na osobę), a małorolni na Podkarpaciu 290 kilogramów*. Do tego mąka, kapusta, fasola i kasza. Ankieter prowadzący badania nad gospodarstwami karłowatymi (o powierzchni poniżej 2 ha) w Dzikowcu[9] spisał dzienny jadłospis jednej z przepytywanych rodzin: *Na śniadanie: chleb i mleko, na obiad: chleb i mleko, na kolację: chleb i mleko*. W *Chłopkach* można też przeczytać o takich specjałach, jak fusier (ziemniaki ugniecione z wodą z gotowania, mąką i tłuszczem ze skwarek), dziadki (zalana wodą masa z mąki i wody) czy złota rybka (woda z cebulą, pieprzem i solą). Porażająca monotonia posiłków i wynikające z niej niedobory składników odżywczych (białka, witamin) to jedna strona medalu. Z drugiej strony samego jedzenia w uboższych rodzinach – a skala biedy w międzywojennej Polsce była olbrzymia – nie wystarczało, by chłopi i chłopki nie chodzili głodni, zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak ciężko pracowali fizycznie. W gospodarstwie, w którym były krowy, wszystkie dzieci mogły chorować na krzywicę, ponieważ każda kropla mleka trafiała do mleczarni. Mięso poza świętami jadano wtedy, gdy jakieś zwierzę padło i już nie wolno go było sprzedać. Wreszcie i tymi nieszczęsnymi ziemniakami można się było najeść dopiero, gdy były zepsute, *bo tych nie zatrzymywano do sadzenia i można było je szybciej zużyć, tłumacząc, że i tak się psują, no to już się tarło na tarce tylko*

Nie mogły decydować o tym, za kogo wyjdą za mąż; ślub wciąż był transakcją i trudno nawet powiedzieć, by panna młoda (często jeszcze nastolatka) stanowiła jej przedmiot – odgrywała raczej rolę dodatku do 3 morgów ziemi albo cielaka

6 *Pamiętnik Cz. Piekarskiego*, w: *Pamiętniki lekarzy*, Warszawa 1939. Cyt. za: J. Kuciel-Frydryszak, dz. cyt.

7 T. Markiewka, *Nic się nie działo. Historia życia mojej babki*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022.

8 Cyt. za: J. Kuciel-Frydryszak, dz. cyt.

9 Obecnie woj. dolnośląskie.

opłukane (*bo szkoda było, aby marnować łupiny*) *i piekło placki na blasze czy kluski robiło*.

Po trzecie: przemoc. O zaklętym kręgu folwarcznej przemocy pisze Kacper Pobłocki w *Chamstwie*[10]: pan bił chłopa, chłop bił żonę – ta hierarchia była wentylem bezpieczeństwa i jednocześnie gwarantem trwania ustalonego porządku społecznego. W międzywojniu panów teoretycznie już nie było i sposób traktowania pracowników w folwarkach (bo te, rzecz jasna, pozostały) uległ poprawie, lecz obyczaje zmieniają się wolniej niż prawa. Władza mężczyzny nad kobietą nie została podważona. Spod karzącej ręki ojca dziewczyna przechodziła na własność męża. *Bicie to wewnętrzna sprawa rodziny* – wyjaśnia Kuciel-Frydryszak i stąd niewielka liczba źródeł pozwalających na ocenę skali przemocy w polskich domach; do sądów trafiały jedynie sprawy najpoważniejsze, jak zabójstwo czy jego usiłowanie. Na porządku dziennym była też przemoc seksualna, począwszy od ataków na dziewczynki (nawet kilkuletnie) zajmujące się pasionką, poprzez kazirodztwo, na gwałtach małżeńskich (których nikt by tak wtedy nie nazwał) kończąc. W jednej z opowieści o niedobranych, przymusowych małżeństwach czytamy: *Marysia całe życie klęła Ignacego, swojego swata, tak nie lubiła męża. A miała z nim ośmioro dzieci. Pani sobie wyobraża, mieć tyle dzieci i chłopa nie lubić?* Kobiety nie odchodziły, bo nie miały dokąd, zresztą zazwyczaj nie przechodziło im to w ogóle przez myśl – na straży trwałości małżeństwa stały Kościół, społeczność wiejska, ale i brak w samej zainteresowanej poczucia, że jest coś warta i że może oczekiwać od życia czegokolwiek więcej. *Chłopki nie znały takiego pojęcia jak potrzeby własne. Wiele z nich nie potrafiło traktować samej siebie podmiotowo, bo o kim tu mówić? Mogłyby spytać: „ja, czyli kto?”. Były formowane do tego, by służyć innym, a nie myśleć o sobie*[11].

10 K. Pobłocki, *Chamstwo*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021.

I w błocie tarzasz gwiezdną duszę

Dążenie do fizycznego przetrwania wydaje się podstawową motywacją większości bohaterek książki Kuciel-Frydryszak. Marta Madejska, porównując ze sobą kilka najnowszych publikacji na temat „ludowej historii Polski”, zauważa, że *gdyby obok książek Ryszarda Jamki i Adama Leszczyńskiego postawić* Chłopki. Opowieść o naszych babkach *Joanny Kuciel-Frydryszak, to na pierwszy rzut oka wyszedłby z tego stary schemat podziału na mężczyzn, którzy mają idee i historie, oraz kobiety, które mają ciała*[12]. Można się z tym po części zgodzić – autorka *Chłopek* faktycznie skupia się na materialnej rzeczywistości życia na wsi: zadymionych izbach, załatwianiu się za stodołą, harówce, głodzie, popękanych bosych stopach, ciężarnych brzuchach czy zupie z pokrzyw. Z pewnością doświadczenie znaczącej części, jeśli nie większości opisywanej grupy do tego się właśnie ograniczało, stąd pokutująca także w kolejnych pokoleniach niewiara we własne możliwości i uległość wobec swojego losu, jaki by on nie był. Jak mawiała mama jednej ze współczesnych bohaterek reportażu: *Kto się pod ławą urodził, nigdy na nią nie wejdzie*.

11 P. Januszewska, *Mężowi nogi umyć i brud wypić. Jak żyły chłopki? [rozmowa]*, https://krytykapolityczna.pl/kultura/czytaj-dalej/rozmowa-z-joanna-kuciel-frydryszak-autorka-ksiazki-chlopki/ [dostęp: 13.09.2023].

12 M. Madejska, *Fantomowe ciało klasy ludowej*, https://www.dwutygodnik.com/artykul/10754-fantomowe-cialo-klasy-ludowej.html [dostęp: 13.09.2023].

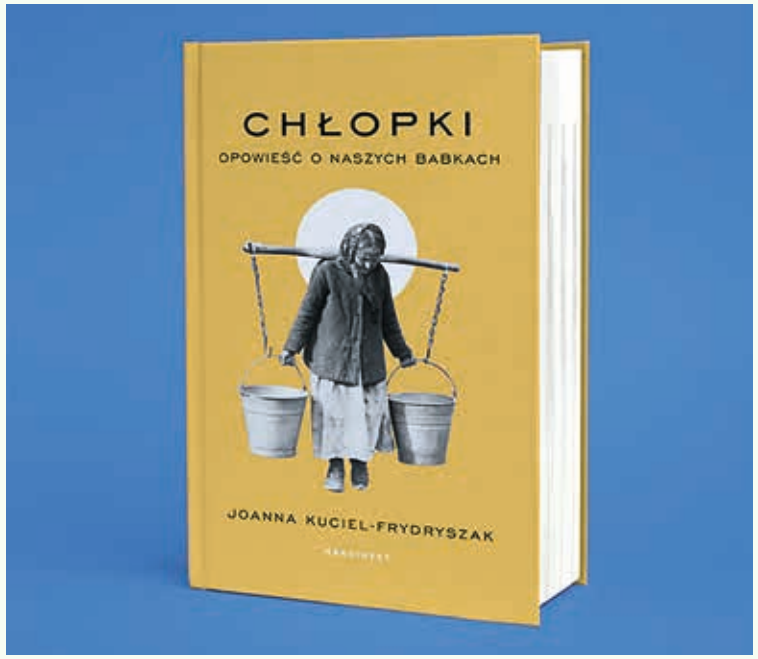

IL.: J. Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Nie jest to jednak w żadnym razie pełen obraz, a w *Chłopkach* nie brakuje przykładów kobiet z ideami i historiami. Często pojawia się motyw niezwykłej determinacji matek, by jak najlepiej wykształcić swoje dzieci (lub choć jedno dziecko) – czasami wbrew woli ojca, kosztem jeszcze cięższej pracy, niedojadania czy nawet otwartej walki ze szkolną dyskryminacją. Autorka poświęciła cały rozdział uniwersytetowi ludowemu założonemu przez niezwykłe małżeństwo Solarzów w Gaci Przeworskiej, a utrzymywanemu wspólnym wysiłkiem mieszkańców i mieszkanek wsi, którzy uwierzyli w swoją sprawczość. Kuciel-Frydryszak pisze również o innych formach samoorganizacji, m.in. o kołach gospodyń wiejskich, o organizowanych przez nie kursach (gotowania, szycia, higieny, ogrodnictwa itd.) i o dążeniu kobiet do uzyskania realnego wpływu na swoje otoczenie, ale też ułatwienia i urozmaicenia sobie życia. Mnie chyba najbardziej zaskoczyła skala mobilności polskich chłopek – wędrowały za pracą nie tylko po folwarkach w całej Polsce, lecz także do Francji, Danii czy nawet za ocean, do Stanów Zjednoczonych i Kanady. Nie zawsze miały inne wyjście i wiele z tych historii nie należy do najszczęśliwszych, ale bardzo odbiegają one od stereotypu ograniczonej dziewuchy, której całe życie toczyło się między chałupą, kościołem a okolicznym targiem. Odwaga wiejskich emigrantek dziś wciąż robi wielkie wrażenie, a mentalny bagaż, z którym wracały – jeśli wracały – na pewno przyspieszył proces zmian, jakie nastąpiły na wsi i w umysłach następnych pokoleń.

Z drugiej strony natomiast – czyż nie potrzebujemy nowej historii opowiedzianej właśnie z perspektywy ciała i codzienności? W komentarzach pod większością recenzji, artykułów i wywiadów na temat *Chłopek* współczesne pokolenie kobiet snuje opowieści o swoich babciach i prababciach: o nędzy i traumie, ale także o determinacji i społecznym awansie jeśli nie córek, to wnuczek. Ja również w trakcie lektury odhaczałam w głowie tematy, które pamiętam z rozmów z babcią, urodzoną w 1925 r. na wsi na Podlasiu; o kilka innych chciałabym móc ją teraz zapytać. W toku edukacji uczyliśmy się o sprawach ludzi możnych, ich obyczajach, interesach i konfliktach. Większość z nas nigdy nie rozpoznawała w nich historii swoich własnych rodzin; dość powiedzieć, że 70% społeczeństwa Polski międzywojennej stanowili mieszkańcy i mieszkanki wsi[13]. I tej historii nam brakuje – rozdźwięk pomiędzy przeszłością opisywaną dotąd w podręcznikach a tą ze wspomnień bliskich daje o sobie znać. To jedna z przyczyn popularności książek opisujących nasze dzieje z perspektywy ludowej – trendu, który utrzymuje się już od kilku lat. *Chłopki*, z całym opisanym w niej cierpieniem, wypełniają kolejne luki w naszej zbiorowej świadomości i indywidualnej pamięci. Mogą też oszołomić, gdy uświadomimy sobie, jak niedawno to wszystko miało miejsce i jak rewolucyjne zmiany zaszły na wsi i w nas na przestrzeni niespełna 100 lat. Ale to zupełnie inna historia. ◆

13 O. Długołęcka, dz. cyt.

Bartosz Klimas

Kolumbowie z polskiej wsi

Na przełomie XIX i XX w. polską wieś we wszystkich zaborach ogarnęła gorączka brazylijska. Tym mianem nazwano falę emigracji do Ameryki, lecz już nie tylko do USA, jak w latach wcześniejszych (choć liczba emigrantów do Ameryki Północnej wciąż przeważała), ale także do Ameryki Południowej, w tym właśnie do Brazylii. Losy tej ok. 100-tysięcznej grupy zostały wówczas szeroko opisane na łamach prasy.

Pierwsze polskie kolonie w Brazylii założyli w latach 70. XIX w. emigranci z zaboru pruskiego. Wkrótce za ocean masowo ruszyły też Królestwo Polskie i Galicja. Na początku lat 90. – po suszy lat 1889–1890, ciężkiej zimie roku 1891 i nieurodzaju ziemniaków – fala emigrantów z polskich wsi wezbrała, choć władze Królestwa, jak i przedstawiciele ziemiaństwa byli bardzo niechętni takiemu wypływowi siły roboczej.

Jakie były dalsze losy tych wędrowców, w znaczącej większości małorolnych i bezrolnych chłopów, dla których dekrety uwłaszczeniowe z 1864 r. nie oznaczały zasadniczej odmiany? Generalizowanie bywa ryzykowne, można jednak założyć, że zwykle był to początek długiej i trudnej drogi, a na jej końcu nie zawsze stały własna farma lub choćby mały domek w „Hameryce”.

W gdyńskim Muzeum Emigracji prezentowane są listy północ-

no- i południowoamerykańskich emigrantów wysyłane w tamtym czasie do rodzin w kraju.

A więc kochany bracie, kiedy jeszcze zostajesz na miejscu, to ja ci życzę z całego serca, ażebyś sprzedał wszystko, co masz i przyjechał do Ameryki, bo jak ja rozważam, to lepiej dziesięć razy można życie prowadzić aniżeli w kraju. I to jakbyś jechał, to jedź z całą familią, z żoną i dziećmi. A jeszcze donoszę, że nie bój się niczego, a przyjedziesz, to się nie będziesz błąkał jak ja, ale przyjedziesz jak do własnego domu[1] – pisał w kwietniu 1891 r. Franciszek Kamieński z Wilkes-Barre w Pensylwanii do brata w Sosnowie (k. Puław).

Droga do Brazylii była dosyć długa i uciążliwa, aleśmy szczęśliwie dojechali do miejsca, skąd piszę 1 listopada. Brat Franciszek, Antoni i Matka niech przyjadą. (...) *Franciszek niech zabiera ze sobą wszystkie swoje gratki, bo tutaj mu się bardzo przydadzą do jego rzemiosła* (...). *Tylko pieniędzy nikomu po drodze nie pożyczać, bo ich się nigdy nie odbierze, tak jak mnie porobili. I donieście siostrze Agnieszce, by z mężem swoim Feliksem przyjechali, bo jak się ma po pańskich służbach poniewierać, to tu daleko lepiej, z początku zwłaszcza ciężko, ale po dwóch latach to już będzie lepiej* – zachęcali Marianna i Kazimierz Kurkowie. List nadano w grudniu 1890 r. w Indaial, w brazylijskim stanie Santa Catarina.

Nie brakuje tu listów z obu Ameryk, z których wynika, że po trudnych początkach udawało się czasem – zachowując wszelkie proporcje – spełnić amerykański sen. I, jak zauważa Adam Leszczyński w *Ludowej historii Polski*[2], poprawę standardu życia łatwiej było odczuć chłopu niż inteligentowi, jako że w tym drugim przypadku krajowy status przestawał się liczyć za granicą. Dlatego też, jak wynika ze statystyk, inteligencja emigrowała za ocean z rzadka.

Co nas tam czeka?

W tym czasie pojawiła się też jednak relacja zgoła odmienna. Jesienią 1890 r. Adolf Dygasiński (1839–1902), pisarz i publicysta, przystał na propozycję redakcji „Kuriera Warszawskiego”[3] i wybrał się szlakiem brazylijskiej emigracji. Chciał się przekonać, jaki los czeka ludzi skuszonych obietnicami „ajentów”, czyli swego rodzaju emigracyjnych akwizytorów, którzy nakłaniali do wyjazdu za ocean.

W Toruniu wsiadłem do wagonu 4-ej klasy, udając się do Bremy; wagon taki jest to klatka 12 łokci długa, 4 szeroka (...). *Obok mnie siedzi Wiśniewski, chłop z pod Rypina, z Rokitnicy; wyemigrował z żoną i czworgiem dzieci, z których najstarszy chłopiec, Teoś, jest 8-letni.* (...) *po drugiej stronie za sąsiada* [*mam*] *rzemieślnika, Stanisława w., stolarza, który emigrował z młodą, może 18-letnią dziewczyną, Zofią Ł., pochodzącą z Paprot, gminy Żale, w powiecie rypińskim,* (...) *następnie chłop z Kujaw w czarnej kamizelce, z pod której widać czerwone rękawy kaftana, a na głowie ma czarny kapelusz z dużem rondem.* (...) *Wiśniewski zapytuje cichym głosem:*
– Czy pan daleko jadą?
Ja udaję również tajemniczego i dyskretnie odpowiadam:
– Za morze...
– I ja za morze! – rzecze chłop z westchnieniem. – A co nas tam czeka?
– Nie wiem – odrzekłem.
Wiśniewski westchnął drugi raz[4].

To początek epopei, która wiedzie przez Bremę i port w Bremerhaven do Rio de Janeiro i dalej, do planowanych kolonii. Wyłania się z tego opisu obraz ludzi tyleż ubogich i zdesperowanych, co całkowicie nieświadomych świata, miejsca, do którego zmierzają, i własnej sytuacji. Ta dezorientacja przybierała czasem komiczne formy.

Nasi chłopi cenią się bardzo wysoko, myślą, że ich pożądają wielce różne rządy; słyszałem na okręcie legendę, że do naszego parowca podjechał w nocy angielski statek i wykradł 25-u emigrantów.
– Pocoby mieli wykradać? – odzywam się.
– A któż, panie, może wiedzieć? Musi potrzebowali takich polskich ludzi.

W obcej skórze

Już w jednym z pierwszych felietonów przesłanych ze stałego lądu Dygasiński relacjonował, jak to wychodźcy oblegają setkami konsulat, błagając, aby przewieziono ich z powrotem do kraju. W miarę podróży w interior obraz nieszczęścia wypełniał się historiami kolejnych osób i grup. Tak było m.in. w stanie Santa Catarina, stanowiącym główny, obok stanu Parana, kierunek polskiej kolonizacji w Brazylii.

Emigranci otoczyli mnie wkoło, wszyscy, jak jeden, błagali, zaklinali, abym im nieszczęśliwym szedł w pomoc. Ze wszech stron wywoływali oni swoje nazwiska, a każdy w nadziei, iż o jego losie doniosę krewnym, przyjaciołom, znajomym: „A może się ktoś, gdzieś zlituje i wykupi biedaków z niewoli brazyliańskiej!”

Nie brakuje tu listów z obu Ameryk, z których wynika, że po trudnych początkach udawało się czasem – zachowując wszelkie proporcje – spełnić amerykański sen

Na próżno jednak – zauważał autor – bo do Brazylii nawet pieniędzy pocztą przesłać nie było można. Ten, kto nie miał żelaznej woli i energii do pracy, już zginął.

Podróż Dygasińskiego rozpoczęła się w październiku 1890 r. i potrwała do stycznia 1891 r., pod czujnym okiem brazylijskich urzędników i przy często wrogich komentarzach w miejscowej prasie (choć nie czyniono mu większych problemów). Pod koniec autor skonstatował:

Chłop polski w zetknięciu się w robocie kolonizacyjnej z niemcami, włochami, hiszpanami [sic!] *najgorzej wychodzi; już od samego początku wszystko uważa za wrogie dla siebie: klimat, ziemię, jej stworzenia i ludzi, bo skóra jego tak przyrosła do kraju, iż jej nie zdoła zrzucić z siebie – jest on tylko polskim chłopem. Hiszpan, włoch, niemiec nigdy nie doznają zawodu; w ostatnim razie kupuje się szczotkę, pudełko szuwaksu*[5] *i czyści się przechodniom buty na ulicy, a nie – to się bierze za 5 wintynów*[6] *bananów i sprzedaż ich do wieczora drugie tyle zysku przyniesie; łódka nad morzem, wędka i t. d. ratuje każdego od ostatniej nędzy, tylko nie polskiego chłopa.* (...) *Chłop nasz przybył tutaj dla pracy na roli; myślał, że znowu pójdzie od rana za pługiem, że będzie siał żyto, sadził kartofle, hodował bydlęta i miał swoję chatę. Jakże się zawiódł!*

Przyczyn brazylijskiego dramatu należało – zdaniem Dygasińskiego – upatrywać zarówno w ponurej doli chłopa w kraju, niezdolności do adaptacji w nowych warunkach, jak i w braku krytycyzmu wobec przedstawianych obietnic. Wystarczyła bowiem przysłana z zagranicy drukowana odezwa, choćby i przez nikogo niepodpisana, pełna rajskich nieomal wizji, aby nakręcić spiralę nadziei.

Właśnie takie odezwy przychodziły do kraju w roku przeszłym, a ich treść stanowiła przedmiot ciągłych gawęd wśród mas ludowych (...). *Jeszcze w Brazylii listy owe mieli chłopi w zanadrzu przy sobie.*

W efekcie tej naiwnej wiary emigranci popadali w stan porównywalny z niewolnictwem (tyle tylko, że zakup niewolnika

IL.: Rodzina polskich osadników ze stanu Parana w Brazylii. foto: NAC, sygnatura: 1-Z-264

1 We wszystkich cytatach zachowano pisownię oryginalną (przyp. red.).

2 A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, Wydawnictwo w. A.B., Warszawa 2020.

3 Gazeta codzienna wydawana w Warszawie od roku 1821 do 1939, kierowana do średniej warstwy mieszczaństwa.

4 Ten i następne kolejne cytaty za: A. Dygasiński, *Listy z Brazylii*, Wydawnictwo „Kurjera Warszawskiego”, Warszawa 1891.

5 Pasta do butów.

6 Vintém, miedziana moneta.

nie odbywał się już jawnie na brazylijskim targu). Jeżeli więc, idąc za myślą Adama Leszczyńskiego, wieki pańszczyzny w Polsce także były w istocie czasem niewolnictwa, to wyzwolenie nie przychodziło łatwo – ani po tej, ani po tamtej stronie Atlantyku.

Weselszą jest parańska dziatwa

Obserwowane przez Dygasińskiego dramaty dotyczyły zapewne jedynie części chłopskiej emigracji i określonego czasu. Wydaje się, że w kolejnych dekadach sytuacja się poprawiała. W 1907 r. Włodzimierz Turski, nauczyciel rodem z Galicji uczący w polskiej szkole w São Mateus do Sul (Parana), pisał, że *weselszą jest parańska dziatwa bo odżywiana dobrze i silnie, bo nie zna zimy, bo nikt jej od lat dziecięcych nie zapędza do pracy nawet takiej jak pasienie bydła i gęsi* (...). *Czystsze dzieci w Paranie od naszych tutaj* [w Galicji][7], *bo stajen ani gnojówek koło domu nie ma, a wody ciepłej pod dostatkiem*[8].

Można zatem przypuszczać, że poświęcenie i niedola rodziców przyczyniły się z czasem do poprawy losu kolejnego pokolenia, odchowanego albo już urodzonego na niezbyt z początku gościnnej „brazyliańskiej" ziemi. O tym, że w Polsce, także tej niepodległej, międzywojennej, perspektywy niekoniecznie byłyby dla nich lepsze, może świadczyć jeszcze jeden list, tym razem wysłany w latach 30. XX w. przez emigranta przybyłego do USA z Babic pod Rzeszowem. Adresatką była pozostająca w kraju żona.

Co ja myślę to na to gospodarstwo co mamy w kraju to się można wysrać tysiące razy, a jak razem będziemy to za rok lepsze będziemy mieli sto razy w Ameryce, kończę pisanie, przyślij mi papiery jak najprendzy (...) *żadnych wymówek nie chcę słyszeć, że nie możesz*[9].

Szacuje się, że w latach 1872–1914 zabór pruski opuściło 1,2 mln osób, z czego do Stanów Zjednoczonych wyjechało około 550 tys. Większość stanowili polscy chłopi. W latach 1850–1914 z Galicji wyemigrowało nieco ponad milion mieszkańców, z czego ok. 85% wybrało USA. Wśród nich było blisko 450 tys. Polaków, w tym 400 tys. chłopów. Z Królestwa Polskiego do 1914 r. wyjechało 1,3–1,4 mln ludzi, z czego 75% do USA. Polskich chłopów mogło być w tej liczbie ok. 800 tysięcy. ◆

Wybrana bibliografia:

A. Chwalba, w. Harpula, *Cham i pan. A nam, prostym, zewsząd nędza?*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

K. Duda-Dziewierz, *Wieś małopolska a emigracja amerykańska. Studium wsi Babica powiatu rzeszowskiego*, Polski Instytut Socjologiczny, Warszawa 1938

A. Dygasiński, *Listy z Brazylii*, Wydawnictwo „Kurjera Warszawskiego", Warszawa 1891

A. Leszczyński, *Ludowa historia Polski*, Wydawnictwo w.A.B., Warszawa 2020

J. Okołowicz, *Wychodźtwo i osadnictwo polskie przed wojną światową*, nakł. Urzędu Emigracyjnego, Warszawa 1920

7 O wszechobecnym brudzie i zatrważającym braku higieny wśród polskich wychodźców pisał też Dygasiński.

8 J. Okołowicz, *Wychodźtwo i osadnictwo polskie przed wojną światową*, nakł. Urzędu Emigracyjnego, Warszawa 1920.

9 K. Duda-Dziewierz, *Wieś małopolska a emigracja amerykańska. Studium wsi Babica powiatu rzeszowskiego*, Polski Instytut Socjologiczny, Warszawa 1938.

Adam Konieczny

Klątwa, wieś i podglądający sąsiad

Wieś żyje swoim życiem trochę na uboczu pędzącego świata. Zbytnio się nim nie przejmuje. Nie pozostaje jednak obojętna na jego działanie. Daje schronienie tym, którzy chcą od niego odsapnąć. Daje możliwości tym, którzy lubią produktywną nudę.

To opowieść o nudzie i bezpieczeństwie. Międzyświeć dzieli od granicy polsko-czeskiej jakieś 15 minut jazdy samochodem na południe. Z okien wszystkich domów widać Beskidy. Są na wyciągnięcie ręki, ale lubią się chować w deszczowe dni za ciężkimi chmurami. Dolinę przecina rzeka Bładnica, wypływająca gdzieś spod Czantorii górującej dumnie nad całą okolicą. Rzeka trochę niechcący dzieli wioskę na dwie części. Trudno jednak szukać bezpośredniej drogi między tym, co na górze, a tym, co po drugiej stronie rzeki, w dolinie. Samochodem teoretycznie da się przejechać przez rzekę, ale jest to niezgodne z prawem. Dla pieszych jest mostek. Kiedyś były dwa, ale jeden zbutwiał. Został zamknięty. Potem odnowiony. Znowu zbutwiał. W końcu pojawiła się tabliczka z napisem bardziej śmiesznym niż strasznym: „Wejście na własną odpowiedzialność", a ścieżka prowadząca do niego przez bagno i chaszcze zachaszczyła się jeszcze bardziej. Niby jedna wieś, ale podzielona. Łatwo zapomnieć o sobie nawzajem.

Żeby dostać się z jednej części do drugiej, trzeba przejechać przez miasto albo inną wieś.

Przeklęte jajka

Zanim pojawiła się w tej krainie wieś, było grodzisko. Tutaj swoją osadę od VII do końca IX w. miało plemię Gołęszyców. Nie tylko oni pozostawili po sobie w tym miejscu ślad. Podczas badań archeologicznych natrafiono na artefakty z okresu kultury łużyckiej. Jednak jeszcze przed tym, jak trafili tutaj archeolodzy, była legenda o „Piekiełku", do dziś przekazywana drogą ustną przez miejscowych. Pewnego dnia do słowiańskiej osady przybyła stara kobieta, która chciała sprzedać jajka. W grodzie mieszkali bardzo źli ludzie, którzy nie życzyli sobie jej obecności, więc ją przepędzili. Uciekająca kobieta przewróciła się i stłukła jajka. By się zemścić, przeklęła gród i jego mieszkańców. Grodzisko zapadło się pod ziemię, pochłonęło je piekło. Osada „przeskoczyła" kilka kilometrów dalej nad rzekę Wisłę i stała się Skoczowem.

Współcześnie „Piekiełko", obrośnięte gęstymi chaszczami i wysokimi drzewami, nie cieszy się dobrą sławą wśród miejscowych. To tutaj mają miejsce schadzki kochanków, na co wskazują pozostawione zużyte prezerwatywy. To tutaj pod osłoną nocy dokonuje się przerzut nielegalnych używek. Przeszłość tego miejsca jest naznaczona również przez samobójców. Mieszkańcy starają się nie zapuszczać w rejony „Piekiełka" po ciemku. W ich wyobraźni nadal pozostaje ono miejscem magicznym i tajemniczym. Być może nadal trochę przeklętym. Najczarniejszym punktem na mapie wsi.

Wielki sąsiad zawsze patrzy

Gdy zapada zmrok, nad Międzyświeciem zaczyna płonąć ogromny czerwony neon, który znajduje się na budynku firmy ochroniarskiej. Światło neonu,

IL: „Piekiełko", archiwum własne

dostrzegalne z odległości kilku kilometrów, przypomina o tym, że wieś znajduje się pod stałą obserwacją – nie tyle wynajętych ku temu ludzi, co przede wszystkim współmieszkańców. Zainteresowanie życiem nieswoim jest wpisane w tkankę społeczności wiejskiej. A każdy, kto twierdzi, że sprawami sąsiada się nie interesuje, kłamie. Niektóre plotki, którymi żyje wieś, bywają urocze. W Międzyświeciu długo funkcjonowała historia o sąsiadce-dilerce. Ponad 70-letnia kobieta miała hodować w swoim ogródku marihuanę (przynajmniej tak twierdzili jej sąsiedzi, bo zauważyli jakieś nietypowe rośliny przed jej domem). Ponieważ staruszka była bardzo sprawna fizycznie i nadal regularnie używała roweru jako środka transportu, to poszła plotka, że jeździ do pobliskiego miasta sprzedawać zioło. Oczywiście nic takiego nie miało miejsca. Kobieta handlowała jedynie jajkami. W samą plotkę nikt nie wierzył. Mieszkańcy opowiadali sobie tę historię dla rozrywki, z podziwem dla sprawności fizycznej jej bohaterki.

Głównym siedliskiem plotek we wsi jest sklep spożywczy. Samo jego otwarcie było szczęśliwym wydarzeniem w życiu mieszkańców Międzyświecia. W końcu nie trzeba jeździć kilku kilometrów do miasta po najpotrzebniejsze zakupy. A że przy okazji można się dowiedzieć, co we wsi piszczy – nawet jeżeli piszczy fałszywie – to tym lepiej. Wyjście do sklepu, poplotkowanie jest praktycznie jedyną możliwością zbudowania więzi pomiędzy mieszkańcami. Międzyświeć nie dysponuje inną platformą, miejscem, w którym mieszkańcy mogliby się spotkać. Dawno temu była strażnica wybudowana w czynie społecznym. Niestety podczas budowy drogi ekspresowej została zburzona. Obiecywano odbudowę, lecz z tych zapewnień nie pozostało nic. Zebrania wiejskie odbywają się w budynku mieszczącego przedszkole i dom dziecka. Kilka lat temu wybudowano orlika oraz wiatkę z przeznaczeniem na imprezy. Z boiska korzystają głównie chłopcy i mężczyźni, spotykając się kilka razy w tygodniu na treningu piłki nożnej. Strażacy na wóz strażacki mają jedynie garaż. Imprezy pod wiatką praktycznie się nie odbywają. Centrum kultury wsi stanowią więc sklep i stacja benzynowa, która pełni też funkcję baru.

Strażacy na wóz strażacki mają jedynie garaż. Imprezy pod wiatką praktycznie się nie odbywają. Centrum kultury wsi stanowią więc sklep i stacja benzynowa, która pełni też funkcję baru

O wsi spokojna, o wsi warcząca!

Jeżeli ktoś chciałby w Międzyświeciu szukać rolników lub ludzi żyjących z pracy na roli, to ich tutaj nie znajdzie. To znaczy z pewnością we wsi mieszka jakiś wykwalifikowany rolnik, ale w zawodzie pracować nie będzie. Ostało się kilka pól należących do kółka rolniczego. Niektórzy mieszkańcy z większymi działkami mogą sobie pozwolić na utrzymywanie pól uprawnych, ale traktują to zajęcie bardziej hobbistycznie. W końcu nic tak nie smakuje jak obiad z własnoręcznie wyhodowanych warzyw. Niekiedy gdzieś na ulicy można spotkać zabłąkaną kurę, uciekinierkę z gospodarstwa wiejskiej dilerki jajek. Praca jest w pobliskich miastach: Skoczowie, Cieszynie, Bielsku-Białej czy niedalekich kurortach: Ustroniu, Wiśle.

Pasją i największym spełnieniem mieszkańców sołectwa zdaje się być trawnik – pielęgnowany, koszony z największą namiętnością. Musi być równiutki, króciutki, zieleniutki. W sezonie co sobotę rozpoczynają się zawody, kto pierwszy uruchomi kosiarkę. A mnogość urządzeń tego typu jest zastraszająca: małe, duże, elektryczne, spalinowe, miniautka koszące, wyrwirączki i kosy. Można wybierać i przebierać. Co najważniejsze, nie należy ograniczać się do posiadania jednego koszącego ustrojstwa, trzeba posiadać cały pakiet. Samo koszenie angażuje do pracy i integruje całe rodziny. Jedni koszą, drudzy szybko grabią trawę, kolejni komentują trawnik sąsiada. Planuje się pod to życie, które traci smak wraz z zakończeniem pory koszenia.

Planowanie jest ważnym elementem życia we wsi, w szczególności gdy nie posiada się samochodu. Nie można powiedzieć, że jest tragicznie, jeżeli chodzi o komunikacje zbiorową, bo ze względu na położenie Międzyświecia przy drodze między Cieszynem a Bielskiem-Białą autobusy (przez miejscowych potocznie nazywane marszrutkami) przynajmniej w tygodniu kursują regularnie. Kwestię połączeń w weekendy lepiej przemilczeć, ale weekend to jednak czas warczących kosiar, wielkiego sprzątania domów i niedzielnych obiadków, więc nikt nie ma głowy do wypadów poza wieś. Sama wycieczka do miasta może przerodzić się w wyprawę życia. Dlatego tak ważne jest jej wcześniejsze szczegółowe obmyślenie. Zawsze może się zdarzyć, że autobus nie przyjedzie lub spóźni się nieprzyzwoicie. I nie ma alternatywy. Trzeba stać na przystanku i cierpliwie czekać. Gorzej, gdy ta ostatnia marszrutka nie przyjedzie, a do domu ma się ponad 20 km.

Boom na wieś

Międzyświeć przeżywa w ostatnich latach napływ mieszkańców, a co za tym idzie, zmienia się również krajobraz wsi. Tam, gdzie jeszcze do niedawna były pola i łąki, jak grzyby po deszczu pojawiają się domy. Wieś dopadła nawet wątpliwej jakości moda na osiedle typu patodeweloperka – pięknie grodzone, nikt nie wie po co. Ruch samochodowy zwiększył się drastycznie. Niegdyś dzieci bawiące się na ulicach były czymś normalnym. Obecnie trudno o taki widok. Samochodów przybyło, a wraz z nimi szaleńców drogowych, mających sobie za nic ograniczenia. Najmłodsi spędzają czas zamknięci za płotami. Wraz z napływem tych „nowych”

1 O mitygacji znajdziesz więcej informacji pod tekstem

2 Bardzo ważnym, choć osobnym tematem jest to, że kraje świata różnią się między sobą również tym, w jakim stopniu ponoszą odpowiedzialność – współcześnie i historycznie – za globalne zmiany klimatu, a także jakimi dysponują zasobami, by wprowadzać w życie sprawiedliwe i skuteczne programy mitygacji i adaptacji do tych zmian, których już nie da się odwrócić.

Równość — 3/2023

Niby jedna wieś, ale podzielona. Łatwo zapomnieć o sobie nawzajem. Żeby dostać się z jednej części do drugiej, trzeba przejechać przez miasto albo inną wieś

okazało się, że las na wsi może być czymś niepożądanym i stanowić problem, bo zasłania widoki i należy go w związku z tym wyciąć. Podział na nowych i starych mieszkańców jest mocno widoczny. Tych nowych się nie zna, są obcy. Ci mieszkający tutaj od pokoleń trzymają się razem. Trudno o integrację. Paradoksalnie im więcej życia do Międzyświecia przybywa, tym jest go mniej. W każdym razie mniej we wspólnocie.

Jeżeli ktoś chciałby w Międzyświeciu szukać rolników lub ludzi żyjących z pracy na roli, to ich tutaj nie znajdzie

Takich Międzyświeci jest zapewne w Polsce całe mnóstwo. Oferują one swoim mieszkańcom względny spokój i bezpieczeństwo. Zdarzają się jakieś incydenty, ale to wciąż wyjątek od reguły. Można się śmiać ze skłonności ich mieszkańców do plotek, ale świadczy ona jednocześnie o tym, że ludzie interesują się sobą nawzajem i gdy trzeba, pomogą. Tutaj sposobem na życie jest nuda – ale nie bezproduktywna. To nuda koszonych trawników, własnego ogródka, ale też nuda wolności, kiedy tak naprawdę nigdzie nie trzeba zdążyć, nigdzie nie trzeba być, nigdzie nie trzeba się pokazać. Można sobie żyć tak trochę na uboczu coraz bardziej pędzącego świata i mieć go głęboko w nosie. Chociaż na kilka chwil. ◆

Filip Górski

Maszyny do myślenia i miejsca do życia. Ekowioski globalnej Północy

Walka o klimat kojarzy się niekiedy z przypinaniem się do różnego rodzaju sprzętów albo ograniczeniami. Rzekomo to my jako konsumenci musimy z czegoś zrezygnować. Ekowioski pokazują, że niekoniecznie trzeba rezygnować, że życie przyjazne klimatowi i jednocześnie satysfakcjonujące społecznie jest możliwe – mówi Marcin Krassowski, antropolog kultury i etnograf.

Co to znaczy ekoosadnictwo? Jaka jest definicja ekowioski?
To jest jedno z najtrudniejszych pytań (*śmiech*). Odpowiedź na nie będzie pewnie determinowała resztę rozmowy. Mogę podać ci definicję, która obecnie obowiązuje – opracowała ją organizacja Global Ecovillage Network[10]. Ekowioska to intencjonalna, tradycyjna lub miejska społeczność, świadomie projektowana poprzez lokalnie zarządzane procesy partycypacyjne we wszystkich 4 wymiarach zrównoważonego rozwoju (społeczność, kultura, ekologia i gospodarka), celem regeneracji środowiska społecznego i naturalnego. Najważniejszy jest zawarty w definicji cel ekowiosek, który wyróżnia je na tle innych rodzajów osad.

10 https://ecovillage.org/ecovillages/ [dostęp: 06.11.2023].

IL: Zdjęcie z archiwum własnego autora

Ekowioska to zarówno społeczność Skala w północnej Grecji, gdzie żyje 7 osób gospodarujących sobie na kilku hektarach, jak i Los Angeles Ecovillage, czyli 3 domy, łącznie ok. 500 mieszkańców, z których tylko 75 osób podejmuje aktywności związane z ograniczaniem negatywnego wpływu na środowisko. Teraz możesz spytać: co ma jedno z drugim wspólnego, skoro to są tak różne społeczności? Ale o to właśnie chodzi – koncept ekowioski jest celowo bardzo szeroki. Dlatego proponowałbym, żebyśmy się ograniczyli do pewnego wycinka pola „ekowioski".

Czyli czegoś, co jest stricte poza miastem?
Czyli tego, co w ruchu ekoosadniczym (od jego początków w latach 90.) rozpoznaje się jako ekowioski globalnej Północy – w przeciwieństwie do ekowiosek globalnego Południa, które cechuje raczej tradycyjny charakter. Te drugie to np. wioski w Senegalu, choćby Mbam i Faoune, które aby przetrwać (wręcz w sensie fizycznym) podczas kryzysu ekonomicznego i demograficznego w latach 80. XX w., musiały przyjrzeć się temu, czym są, i odbudować się na innych zasadach, niż działały do tej pory – ale były to zasadniczo społeczności tradycyjne, bliższe „zwykłym" wioskom. Te pierwsze są natomiast społecznościami raczej intencjonalnymi, tzn. zakładanymi od zera w konkretnym celu. Czerpią z dziedzictwa kontrkultury oraz ruchu komun w USA i Europie, ale nie tylko. Mamy również ekowioski inspirowane antropozofią[1] Rudolfa Steinera i zakładanymi w ramach zapoczątkowanego przez niego ruchu camphillami[2]. W końcu jest też bogata spuścizna ruchu cohousingowego[3] (szczególnie w Danii). Moja propozycja jest taka, żebyśmy wzięli pod lupę ekowioski globalnej Północy w stereotypowym znaczeniu tym, które obrosło skojarzeniami z hipisami, wolną miłością i tuleniem się do drzew.

Odwiedziłeś 20 ekowiosek, spędziłeś w nich trochę czasu. Kto najczęściej na globalnej Północy decyduje się na dołączenie do ekowioski? Czy są to osoby, które łatwo wrzucić do worka „znudzeni życiem w mieście przedstawiciele klasy średniej lub wyższej", czy może ekowioski to coś bardziej inkluzywnego?
Ekowioski z natury mają być inkluzywne, natomiast rozróżniłbym dwie kwestie: kto zakłada ekowioski i kto ewentualnie do nich dołącza. Jeśli chodzi o założycieli, jest to raczej klasa średnia, nastawiona prośrodowiskowo, aktywistycznie. Jak widzisz, używam tutaj bardzo okrągłych słów, bo nie chciałbym stereotypizować. Mogę podać przykłady. Byłem kiedyś w bardzo ciekawej ekowiosce Schloss Tonndorf, która mieści się w zamku z XIII albo XIV w. nieopodal Erfurtu w Niemczech. Nie jest to bardzo stara społeczność, mają około 20 lat. Założyła ją grupa ludzi, która chciała żyć bardziej ekologicznie, ale znajdziesz tam zarówno małżeństwo stolarzy, jak i wziętego architekta, prawniczkę, właścicielkę firmy cateringowej dostarczającej posiłki dla 300–400 dzieci w Erfurcie oraz Weimarze, pszczelarzy – pełen przekrój społeczny, pełen przekrój zainteresowań. Natomiast jak rozumiem, tym pytaniem dotykasz też innej kwestii, mianowicie czy trzeba mieć pieniądze, by dołączyć do ekowioski.

Przede wszystkim chciałbym spytać o to, czy styl życia, który się tam prowadzi – oparty na pracy na rzecz własnej społeczności, ewentualnie kooperacji z otoczeniem, wymagający pewnych wyrzeczeń, lat starań i trudów, by wyprowadzka do ekowioski zaczęła się jakoś „zwracać" – nie jest pisany tylko tym, którzy mają odpowiedni kapitał na starcie. Kupienie ziemi, wybudowanie czegoś, nauczenie się nowych rzeczy (np. ciosania drewna, uprawy roli) – to wszystko wymaga czasu i pieniędzy. Może się to wydawać nieosiągalne dla osób, które żyją od pierwszego do pierwszego i ledwo marzą o lepszym mieszkaniu albo fajnych wakacjach.

1 Antropozofia – koncepcja filozoficzno-psychologiczna oparta na założeniu, że człowiek jest mikrokosmosem i stanowi jedność z Bogiem i światem. Zainicjowana przez austriackiego filozofa Rudolfa Steinera na początku XX w.

2 Camphille (ang. *Camphill communities*) – społeczności antropozoficzne o charakterze leczniczym, integrujące osoby z różnymi problemami. Funkcjonują głównie w Niemczech i krajach skandynawskich.

3 Cohousing – forma mieszkalnictwa oparta na współpracy i bliskich relacjach sąsiedzkich. Mieszkańcy tego typu wspólnot dzielą część przestrzeni i udogodnień. Idea cohousingu kładzie nacisk na zdrową równowagę między życiem prywatnym, rodzinnym i życiem w społeczności [na podstawie: https://thinkco.pl/na-czym-polega-cohousing/, dostęp: 27.10.2023].

Aby zamieszkać w ekowiosce, nie trzeba umieć ciosać drewna ani uprawiać ziemi. Prawdopodobnie nie trzeba nawet wiedzieć, jak rozkręcić kran, jak postawić dom, jak zrobić cokolwiek. I tu ważne zastrzeżenie – jeżeli ma się pewien kapitał. Muszę przyznać ci rację, mieszkańcy ekowioski to najczęściej osoby, które mogą sobie pozwolić np. na zakup ziemi. Nie zetknąłem się jeszcze z sytuacją, żeby ktoś zeskłotował jakąś nieruchomość lub nieruchomości, a następnie urządził tam ekowioskę.

Nie będziemy żyć w świecie ekowiosek i ja sam nie chciałbym żyć w świecie ekowiosek. Między innymi dlatego, że podział na miasto i wieś będzie się wyostrzał na korzyść miasta

Spotkałem się natomiast z tym, że grupa poszukująca miejsca na stworzenie ekowioski kupiła praktycznie za bezcen dawny gigantyczny ośrodek psychiatryczny (wioska Keuru, Finlandia). Tak samo w Schloss Tonndorf. Mój mieszkający tam przyjaciel Thomas na pytanie, jak to jest kupić zamek, odpowiedział, że to wcale nie jest droga sprawa, bo w Niemczech jest pełno opuszczonych zamków – tyle że potem trzeba w ich konserwację włożyć jakieś pieniądze. Pod tym względem ekowioski nie są więc dla wszystkich. Nie każdego będzie na to stać. Nie każdy będzie też miał na to czas. Nie każdy pracuje w wolnym zawodzie, który umożliwia wykonywanie pracy z domu w nieregularnych godzinach. Nie każdy może dowozić dzieci do szkoły do miejscowości oddalonej o ileś tam kilometrów. Nie każdy zdecyduje się na dojazd do pracy samochodem czy komunikacją publiczną.

Czyli zakładamy, że ekowioska może funkcjonować nie tylko jako rodzaj zamkniętego obiegu (mieszkanie, wytwarzanie, świadczenie usług i konsumowanie na miejscu), ale też jako osada, której mieszkańcy pracują poza nią? To jest częste?
A jak pomyślisz sobie o jakiejkolwiek współczesnej wsi w Polsce, to czy wszyscy jej mieszkańcy siedzą na miejscu i zajmują się gospodarką rolną, ewentualnie mają lokalne sklepy, czy np. ze Zrębic w województwie śląskim czy Cieksyna pod Nasielskiem ludzie dojeżdżają do pracy do dużych miast: Częstochowy albo Warszawy? Tak samo jest w ekowioskach. Problem jest inny: jak zapewnić pracę mieszkańcom ekowioski? Jeżeli mieszkasz w zwykłej wsi i decydujesz się na prowadzenie tam sklepu, to go zakładasz, ludzie z okolicy w nim kupują i interes się kręci (w dużym uproszczeniu). W ekowiosce tak raczej nie będzie, bo te społeczności zwykle są za małe na tego rodzaju usługi. Zresztą w ogóle problemem wsi i małych miast pozostaje niedobór miejsc pracy.

W mojej optyce można wyróżnić 2 typy idealne ekowiosek globalnej Północy: komuna i osiedle. W ekowioskach reprezentujących ten pierwszy rodzaj jest wspólna własność przedmiotów, wspólna praca i budowanie na miejscu, wspólne gotowanie i posiłki. Są takie ekowioski (np. jedna z moich ulubionych, Suderbyn na Gotlandii), w których wspólne jest w zasadzie wszystko poza indywidualnym dochodem i przestrzenią – tzn. każda osoba ma zapewniony własny pokój. Mamy też ekowioski w typie osiedla. Tutaj 2 przykłady: pierwszy to Hurdal w Norwegii, która została wybudowana przez dewelopera na zlecenie związanego z nim NGO-sa. W tej ekowiosce można było kupić dom. Od stereotypowego osiedla na warszawskiej Białołęce Hurdal różniła się tym, że nie ma tam ogrodzeń, a domy zostały zaprojektowane nawet nie tyle jako energooszczędne, ale wręcz oddające energię elektryczną do sieci. Wspólne były jedynie skrzynki pocztowe położone w jednym miejscu blisko siebie, dom wspólnotowy (w którym z tego, co pamiętam, nie działo się absolutnie nic) i kawiarnia, w której trzeba było normalnie płacić, ale pracował w niej ktoś z mieszkańców – i tyle. Drugi przykład to Hallingelille w Danii, gdzie też jest dom wspólnotowy, ale są również wspólne obiady 2 razy w tygodniu (tylko tyle, ponieważ nie każdy ma czas – niektórzy jeżdżą do Kopenhagi do pracy). Mieszkańcy dzielą też pralnię, bo po co każdy ma mieć własną pralkę, skoro nie pierzemy codziennie? Do przykładu Hallingelille potem jeszcze wrócę.

Dla mnie siła konceptu ekowioski tkwi właśnie w jego różnorodności. Wracając do pytania, kto w ekowioskach mieszka i dla jakich ludzi są one tworzone – to jest kwestia otwarta. Jeżeli chcesz żyć bardzo blisko z kimś, być w prawdziwej wspólnocie, znajdziesz ekowioskę, która ci to zapewni, albo możesz taką założyć. Ale jeżeli tak naprawdę chcesz pobyć z ludźmi tylko trochę bliżej i głównie chodzi ci o to, by wyjechać za miasto (czyli suburbanizacja, ale w bardziej ekologicznej formie), to też coś znajdziesz.

Ciekawie ta dynamika wspólnota–indywidualizm rozwiązana jest w Hallingelille. Każda rodzina ma swój osobny dom, ale też część starych budynków gospodarczych została przekształcona w tzw. Kolektyw. Funkcjonuje on w ramach ekowioski, jest jej częścią, ale mieszkają w nim ci, którzy chcieli żyć w bardziej ścisłej wspólnocie, nie mają potrzeby posiadania domu ani osobnego mieszkania, albo ci, których nie stać na coś większego – wynajmują tam pokoje, wspólnie jadają posiłki.

Czy nie jest tak, że hasło „ekowioska" po prostu lepiej sprzedaje to, co mieści się w starym, sprawdzonym pojęciu wsi?
Ale ekowioski wcale dobrze się nie sprzedają. Kto w Polsce o nich słyszał? Nawet gdy jeździłem na międzynarodowe konferencje, to też wiele osób nie miało pojęcia, o co chodzi. Ten koncept nie sprzedaje się też dlatego, że do 2030 r. 5 mld ludzi będzie mieszkać w miastach, więc po co nam niby odświeża-

Ekowioski nie są dla wszystkich. Nie każdego będzie na to stać. Nie każdy będzie też miał na to czas. Nie każdy pracuje w wolnym zawodzie, który umożliwia wykonywanie pracy z domu w nieregularnych godzinach

nie wsi na ekologiczną modłę, skoro tak naprawdę bardziej sexy będą wszystkie tematy związane z miastem: miasto 15-minutowe, miasto zielone itd. Już pewnie nawet stare pojęcie miasta ogrodu lepiej by się sprzedało niż ekowioska (*śmiech*).

Tym, co odróżnia ekowioskę od dawniejszych konceptów, od tego binarnego podziału miasto–wieś, jest ostatnia część definicji, czyli słowo „regeneracja" – a więc zakładamy, że coś się zepsuło i trzeba to naprawić. To już nie jest stare, Tönniesowskie rozumienie wspólnoty, w której się rodzimy, więc mieszkamy tam i to jest nasze miejsce do życia. To już nie jest model, w którym celem istnienia osady jest tylko zaspokajanie potrzeb swoich mieszkańców.

Chyba nie tylko w ekowioskach obserwujemy taką zmianę. Miasta też przechodzą od „prostego trwania" do stawiania sobie ambitnych celów, nierzadko wykraczających poza zapewnienie pewnego standardu życia czy realizację zadań określonych w ustawie.
W obliczu kryzysu klimatycznego trudno nie myśleć celowo. Choć w sumie cele zawsze były, tylko nie formułowano ich aż tak głośno i bezpośrednio, a przede wszystkim – nie uspołeczniano procesu ich wypracowywania. Z tym uspołecznianiem to zresztą można dyskutować, na ile ono faktycznie ma miejsce w planowaniu strategicznym... Ale wracając: nie tylko w ruchu ekoosadniczym, ale i w szerszym zakresie nastąpiło przejście od myślenia o samowystarczalności do myślenia o zrównoważonym rozwoju czy *resilience*. Zawsze mam problem z dobrym tłumaczeniem tego słowa.

Odkształcenie się i powrót do stanu pierwotnego?
Niekoniecznie, bo wtedy można byłoby to nazwać zwyczajnie sprężystością. Chodzi raczej o niezałamanie się, zdolność podtrzymywania, spełniania swoich funkcji przy zmienności otoczenia. Inaczej: coś nie łamie się pod wpływem zmiennych okoliczności, odkształca się, ale dalej funkcjonuje, zachowuje swoje właściwości. Ruch ekoosadniczy też powinien tak działać – nawet na takim organizacyjnym poziomie.

Ekowioski jako fikcje klimatyczne są pokazaniem tego, że niekoniecznie trzeba rezygnować, że życie przyjazne klimatowi i satysfakcjonujące społecznie jest możliwe

To znaczy?
Założenia, które powstały na początku lat 90., to jedno, a to, jak ludzie żyją – drugie. Podam ci przykład. Podczas pierwszego wyjazdu terenowego, kiedy byłem w Skandynawii, w jednej z ekowiosek trafiłem akurat na święto Midsommar. Zorganizowano tam wielkie ognisko. Przyszedłem na nie i na stosie, który miał być ogniskiem, zobaczyłem: płytę OSB, stary fotel z lat 70., lalkę Barbie... Potem przyjechał facet traktorem, wyrzucił z niego jeszcze więcej szmelcu, po czym wziął kanister z benzyną, polał te wszystkie graty i podpalił. Oczy miałem mniej więcej takie jak ty teraz i pomyślałem sobie: *Czemu to się nazywa ekowioska?* Dopiero potem, w rozmowach wyszło, o co chodzi. Ludzie mówili, że gdy zakładali ekowioskę, byli nastawieni na dbanie o środowisko za wszelką cenę – a potem życie to trochę zweryfikowało. Choć rozpalania ogniska benzyną i palenia lalek Barbie raczej to nie usprawiedliwia (*śmiech*). Trzeba zrozumieć, że mieszkańcami ekowioski nie muszą być i nie zawsze są aktywiści. Ekowioska jest przede wszystkim miejscem do życia. Jeżeli pewne rzeczy są za trudne, to robimy tylko te, które umiemy zrobić – niekoniecznie zabijamy się w imię ekologii.

Czyli to, że mieszkańcy ekowioski odejdą od pierwotnego celu, czyli regeneracji, lub zrewidują go, też jest okej?
A czemu by nie? Ekowioska to luźny koncept, a ruch ekoosadniczy to luźna sieć bazująca na tym, że ma wypracowane *know-how*: rozwiązania społeczne, finansowe, ekologiczne, technologie, mimo że składa się z bardzo różnych społeczności. Znowu wrócę do tego przykładu: co ma wspólnego antropozofia z hipisami? Jedyne, co łączy wszystkie ekowioski, to zainteresowanie środowiskiem i chęć życia bardziej wspólnie. Ale do jakiego stopnia – tutaj granica nie jest ostra. No, nie mogę ci powiedzieć, że jak gdzieś jada się 3 wspólne obiady tygodniowo, to mamy do czynienia z ekowioską, a jak 2, to już nie.

Wracając do tego słowa niedającego się dobrze przetłumaczyć na polski – ekowioska może istnieć dalej nawet wtedy, gdy nie da się być w 100% ekologicznym, gdy np. ma się dwójkę małych dzieci i pracę na pełen etat, a po godzinach jeszcze buduje się ekodom... Weź tu, człowieku, nie zwariuj. Nie chodzi o zarąbywanie się dla idei. Kiedy pytałem ludzi, dlaczego przenoszą się do ekowiosek, najczęściej słyszałem: po to, by mieć lepsze, bardziej satysfakcjonujące życie. Oczywiście, są jeszcze społeczności religijne, tam motywacje mieszkańców nieco się różnią, ale to zupełnie inna kategoria.

A jak wygląda zarządzanie ekowioską? Jaki model podejmowania decyzji jest najczęstszy w tego typu społecznościach?
Bardzo dużo zależy od tego, ile osób tam mieszka. Inaczej podejmujesz decyzje, gdy w proces zaangażowanych jest 9 osób, inaczej, gdy jest ich 150. Zasadniczo mocnym trendem jest obecnie socjokracja, szczególnie socjokracja 3.0 i jej elementy. Hasło *good enough for now and safe enough for try* jest w ekowioskach w tym momencie bardzo rozpowszechnione – nawet jeśli nie podejmuje się decyzji w pełnym procesie socjokratycznym.

Socjokracja, czyli?
Socjokracja jest modelem zarządzania inspirowanym tym, jak decyzje podejmowano w społeczności kwakrów[4]. Podstawą systemu są tzw. kręgi, które zajmują się poszczególnymi dziedzinami życia. Na przykład w ekowiosce może działać krąg budowlany, rolniczy, szkolny itd. i to osoby w tych kręgach podejmują decyzje dotyczące swojego obszaru (ogrodu, kuchni, budowlanki itd.) – w myśl zasady, że to oni wiedzą najwięcej i najlepiej. W każdym kręgu istnieje funkcja „delegata" lub „delegatki", którzy mają za zadanie zapewniać łączność i wymianę informacji pomiędzy poszczególnymi kręgami.

Choć każda osoba ma równy głos, to motywem przewodnim w socjokracji jest hasło wspomniane przed chwilą. Na jego podstawie powinieneś sformułować pytanie, które warto zadać sobie przy podejmowaniu każdej decyzji. To nie jest pytanie nie o to, czy dana propozycja ci pasuje, czy nie pasuje, tylko o to, czy jest wystarczająco dobra i czy jest bezpieczna do wypróbowania. Ekowioski obecnie rezygnują z innych modeli, uwzględniających np. prawo weta. Nie chcą blokować procesu podejmowania decyzji przez konieczność jednomyślności, więc przechodzą m.in. na socjokrację.

Spróbujmy ocenić ekowioski. Choć wiem też już po naszej rozmowie, że ekowioski ewoluują, bo ich cele się zmieniają, więc może być trudno ocenić, na ile dana społeczność odnosi sukces...
Nie, to jest bardzo proste! Sukcesem jest, jeżeli ekowioska przetrwa. Większość ekowiosek upada albo jeszcze przed kupnem ziemi i zaczęciem czegokolwiek (bo ludzie zdążą się pokłócić i zmienią plany), albo w przeciągu pierwszych 3–5 lat. Trochę jak w biznesie – przetrwa może 30% firm po pierwszych 5 latach. Więc jeżeli ekowioska funkcjonuje dłużej niż 5 lat, jest to pewien sukces, naprawdę.

A przyszłość tych społeczności? Jak ma się kwestia zakładania ekowioski i życia w niej do tego, co już dziś się dzieje: ekstremalne zjawiska pogodowe, zmiana warunków glebowych, spadek bioróżnorodności, migracje? Czy ekowioski będą dającym się powielać modelem zamieszkiwania (oczywiście wewnętrznie zróżnicowanym, ale dającym się replikować w warunkach zmian klimatu), czy bardziej laboratorium rozwiązań, które potem będzie można przeszczepić do innego rodzaju struktur?
Nie będziemy żyć w świecie ekowiosek i ja sam nie chciałbym żyć w świecie ekowiosek. Między innymi dlatego, że podział na miasto i wieś będzie się wyostrzał na korzyść miasta – z punktu widzenia emisji CO_2 lepsze jest mieszkanie w czymś takim [Marcin wskazuje palcem modernistyczną kamienicę] niż w jednorodzinnym domku...

Mimo wielu złudzeń, które nam towarzyszą. Wolno stojący dom wydaje się bardzo kuszący dla wielu osób – nawet dla tych, które myślą o klimacie przy podejmowaniu codziennych decyzji.
Tak, absolutnie. Ekodomek, żywność z własnego ogródka – to ludzi pociąga, natomiast jako populacja światowa nie jesteśmy w stanie wszyscy przenieść się na wieś i żyć w ten sposób. Nie to jest celem ruchu ekoosadniczego.

Zawsze myślałem o ekowioskach jako o laboratoriach

4 Kwakrzy (ang. *Quakers*), oficjalnie Religijne Towarzystwo Przyjaciół (ang. *Religious Society of Friends*) – chrześcijańska wspólnota religijna wywodząca się z purytanizmu.

przyszłości, ale nie mam na myśli laboratoriów rozwiązań do uniwersalnego zastosowania. Dlaczego to nie ma prawa w ten sposób zafunkcjonować? Przykład bardzo przyziemny: najlepszym wynalazkiem, jeśli chodzi o kwestie budowy toalet, jest sucha toaleta kompostowa, w której nie używasz wody – toaleta jednocześnie produkująca kompost, który można wykorzystać na kilka sposobów. Siedząc teraz w kawiarni, patrzymy na żoliborskie kamienice. Wyobraź sobie urządzenie tu suchych toalet. To mało możliwe.

W ekowioskach nie chodzi więc o bezpośrednią przekładalność, nie chodzi też o skalowalność. Ekowioska to nie plantacja, którą można rozszerzać. Zdaniem Anny Tsing, profesorki antropologii na University of California w Santa Cruz, plantacja jest idealnym modernistycznym pomysłem, ponieważ ze względu na alienację od otoczenia da się ją skalować w nieskończoność bez zmiany wewnętrznej struktury. Ekowioska nie może być skalowalna, ponieważ co z tego, że masz pewne rozwiązania, skoro cały ten koncept opiera się na ludziach?

Ekowioski postrzegam też jako pewien rodzaj fikcji klimatycznych. No bo po co mamy fikcje klimatyczne – zarówno te książkowe, jak u Ursuli Le Guin, jak i te w grach komputerowych, np. *Norco*? Jednym z ich celów – w dużym uproszczeniu – jest popularyzacja. Chodzi o to, żeby wziąć abstrakcyjną i złowrogą naukę o klimacie (abstrakcyjną, bo to wiele złożonych danych, a złowrogą, bo kiedy słyszymy o klimacie, to najczęściej w ramach narracji, że jesteśmy w dupie) i pokazać ją w innym kontekście, pokazać jakąś możliwość. Z czym się kojarzy walka o klimat? Z Greenpeace'em i przypinaniem się do różnego rodzaju sprzętów czy nawet z ekoterroryzmem albo z ograniczeniami – że ja jako konsument muszę z czegoś zrezygnować. Ekowioski jako fikcje klimatyczne są pokazaniem tego, że niekoniecznie trzeba rezygnować, że życie przyjazne klimatowi i satysfakcjonujące społecznie jest możliwe.

Od tego są utopie – to maszyny do myślenia. I ekowioski są takimi właśnie maszynami do myślenia. A dla tych, którzy w nich mieszkają, także wielkim wyzwaniem. Skoro ekowioski to laboratoria przyszłości, warto pamiętać, że w prawdziwych laboratoriach wcale nie tak wiele eksperymentów się udaje. Ekowioski to zatem również miejsca, gdzie popełnia się błędy, być może po to, by nie trzeba było powielać ich gdzie indziej. Na tym polega praca Global Ecovillage Network – oni pokazują: ten eksperyment nie wyszedł już milion razy, może zróbcie to inaczej. Druga sprawa to zjawisko, które lubię nazywać *misleading ecology* (na wzór *misleading theology*, czyli pojęcia z zakresu teologii, które używane jest na określenie niektórych bliskich sektom ruchów religijnych). Chodzi mi o rozwiązania, które tylko pozornie są bardzo ekologiczne, dobre dla klimatu albo dla społeczeństwa. Zdarza się w ekowioskach promowanie koncepcji, które z punktu widzenia samej emisji gazów cieplarnianych są błędne, ale być może mają jakieś znaczenie społeczne.

Skoro ekowioski to laboratoria przyszłości, warto pamiętać, że w prawdziwych laboratoriach wcale nie tak wiele eksperymentów się udaje. Ekowioski to zatem również miejsca, gdzie popełnia się błędy, być może po to, by nie trzeba było powielać ich gdzie indziej

I powtórzę: dla mieszkańców ekowiosek są one po prostu ich domami – takimi, o których marzyli, lub takimi, które są, bo po prostu... tak wyszło.

Kurczę, to wszystko, co mówisz, można by streścić tak: „No dobra, mamy ekowioski, one sobie są, bo ludzie chcą gdzieś mieszkać, chcą też coś zmienić w świecie, ale różnie im z tym wychodzi. Czy to, co zrobią, się przyda? Być może tak, a być może nie". To jest zdecydowane zejście na ziemię, które trochę podzielam, ale nie ukrywam, że uderza mnie Twój realizm. Znam wiele środowisk i osób postulujących nowy, lepszy świat w dobie zmian klimatu – od nich zazwyczaj biją wiara i nadzieja. W najgorszym wypadku słyszę od ludzi, że nic nie ma sensu, bo wszyscy umrzemy. A Ty...

Wyszedłem na starego i zgorzkniałego?

Nie, zastanawiam się po prostu, czy po latach zajmowania się ekowioskami dalej się tym jarasz i nie czujesz wypalenia. A może po prostu od zawsze byłeś tylko takim neutralnym obserwatorem, badaczem?
Może powinienem był to powiedzieć na początku rozmowy, bo nie zaznaczyłem, jaka jest moja perspektywa badawcza. Ona jest bardzo charakterystyczna, ponieważ jestem antropologiem, etnografem. Może gdybyś zapytał socjologa, toby ci powiedział coś z ogólnej, ideowej perspektywy. Natomiast ja spędziłem w różnych ekowioskach ponad rok, z bardzo różnymi osobami... Ten rok sprawił, że mówię bardziej z poziomu doświadczeń ludzi, a mniej z poziomu idei – tak jak to ująłeś, to jest zejście na ziemię. Obraz ekowioski, który mam, jest bardzo złożony, to znaczy wiesz, oczywiście mógłbym go dla ciebie złożyć w jakąś ideologiczną pigułę...

Fajną kliszę?
Tak. Ale przez 6 lat pracowałem nad tym, żeby tego nie robić, żeby to wszystko ująć w takie ramy, które nie będą robić z ekowiosek kliszy.

To chyba okej, w sensie – no wiesz – byłoby szkodliwe, gdybyś zrobił coś odwrotnego i wbrew własnej wiedzy.
Tak, można by to całe zagadnienie sprowadzić do banalnych i prostych, czarno-białych pojęć. No ale tego nie zrobiliśmy (*śmiech*).

To dobrze, to się cieszę! ◆

Adrianna Zipper

Wojenna rzeczywistość na ukraińskiej wsi

Rosyjska inwazja na Ukrainę przyniosła wiele mrożących krew w żyłach historii. Większość z tych, które trafiły do polskich mediów, pochodziły głównie z ukraińskich miast, takich jak Charków, Mariupol czy Bachmut. Tragedia wojny dotknęła jednakże nie tylko ośrodki miejskie, ale także wsie. Bardzo często ich mieszkańcy są (lub byli) rolnikami, którym wojna uniemożliwia bądź znacząco utrudnia wykonywanie pracy, zaś rosyjscy żołnierze często organizują w nich swoje obozy i groźbami oraz przemocą kontrolują życie autochtonów.

Wojna zagrożeniem dla rolnictwa

Obszary wiejskie zostały dotknięte przez wojnę m.in. właśnie z powodu ich rolniczego charakteru. Według raportu Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO) w agrokulturę w Ukrainie zaangażowanych jest 72% domowych gospodarstw wiejskich[1]. Rodzaj produkcji rolnej różni się w zależności od regionu i jego „specjalizacji": są to uprawy (zboża i nasiona oleiste), warzywa (w tym rośliny okopowe, bulwy, owoce i jagody) oraz produkty zwierzęce. Wojna wpłynęła negatywnie na produkcję rolną – aż 1 na 4 rolników w skali całej Ukrainy całkowicie ją wstrzymał bądź znacznie ograniczył. Liczba takich rolników jest oczywiście większa na obszarach znajdujących się przy linii frontu.

Wiejskie gospodarstwa domowe, które zgłosiły zawieszenie lub ograniczenie produkcji rolnej, były o 16% bardziej narażone na drastyczny lub znaczący spadek dochodów[2]. Wojnie towarzyszy dodatkowo spory wzrost kosztów prowadzenia gospodarstwa ze względu na zakłócenia na rynku, problemy logistyczne i zaopatrzeniowe oraz wzrost cen większości produktów (np. paszy dla zwierząt, paliwa czy leków). Całkowite straty dla wiejskich gospodarstw domowych szacuje się na 2,25 mld USD w pierwszych 6 miesiącach wojny[3]. Duże ograniczenie lub całkowite wstrzymanie produkcji to tragedia dla rodzin rolniczych, gdyż niejednokrotnie stanowiła ona ich jedyne źródło dochodu. Dodatkowo niemal 50% rolników zadeklarowało, że żywi się z własnej produkcji. Efektem jest zatem utrata zarobku i wyżywienia.

Jednym z obrazów tej sytuacji jest historia Ołeksandra Krywstowa budującego opancerzony traktor w celu usunięcia min z własnego pola. Tereny wokół jego wioski Hrakowe, położonej na południe od Charkowa, są pokryte minami lądowymi. Ratownicy i urzędnicy zajmujący się rozminowywaniem tych obszarów są przepracowani, przez co rolnikom zaleca się wstrzymanie od zasiewania swoich pól z powodu potencjalnego

1 Raport Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa *Impact of the war on agriculture and rural livelihoods in Ukraine: Findings of a nation-wide rural household survey*, grudzień 2022, https://www.fao.org/3/cc3311en/cc3311en.pdf [dostęp: 5.12.2023].

2 Tamże, s. 8.

3 Tamże.

niebezpieczeństwa. Krywstow postanowił jednak nie czekać i podjął się nowego zadania: z wraków rosyjskich czołgów i pojazdów wojskowych zebrał opancerzenie, a traktor przebudował w zdalnie sterowaną maszynę zdolną do wykrywania i usuwania min, które stanowią ogromny problem dla ukraińskich żołnierzy i cywilów. Na początku kwietnia Bank Światowy oszacował, że rozminowanie Ukrainy będzie kosztować ponad 37 mld USD[4].

Członkowie wiejskich gospodarstw jako najczęściej stosowane strategie radzenia sobie z kryzysem wskazali sprzedaż aktywów produkcyjnych oraz zmniejszenie wydatków na zdrowie, nawozy, pestycydy, paszę dla zwierząt i usługi weterynaryjne. W tym miejscu warto zaznaczyć, że pomniejsi rolnicy wcale nie są głównymi graczami na ukraińskim rynku rolnym. Ten jest bowiem zdominowany przez agroholdingi – ogromne firmy, których największymi udziałowcami, a nierzadko także założycielami są oligarchowie, często oskarżani o korupcję i liczne oszustwa podatkowe. Około 4,3 mln ha ukraińskiej ziemi uprawia się na dużą skalę, z czego 3 mln znajdują się w rękach zaledwie kilkunastu wielkich firm agrobiznesowych[5]. Należą do nich m.in.: Kernel (Andrij Werewski, 16. najbogatszy człowiek Ukrainy), UkrLandFarming (Ołeh Bachmatiuk, 28. najbogatszy człowiek Ukrainy), MHP (Jurij Kosiuk, 10. najbogatszy człowiek Ukrainy) czy Astarta (Wiktor Iwanczyk, 95. najbogatszy człowiek Ukrainy)[6]. Te, w przeciwieństwie do zwykłych rolników i pomimo początkowej paniki związanej z wojną, w znacznej mierze dzięki otwarciu europejskiego rynku na ukraińskie produkty rolne nie radzą sobie źle. To właśnie agroholdingi zalewają nasz rynek swoimi produktami, przeciw czemu protestują polscy rolnicy.

Jednym z obranych przez Ukraińców kierunków ucieczki, poza wyjazdem na zachód, była właśnie wieś. Nie brakowało osób, które uznały, że wyjazd do krewnych jest bezpieczniejszą opcją niż pozostanie w mieście mogącym stać się głównym celem ataków Rosji

Dlaczego wojsko miałoby marnować czas i amunicję, by tu przyjeżdżać?

Już w pierwszym miesiącu pełnoskalowej inwazji internet obiegło nagranie ukraińskiego rolnika, który „ukradł" rosyjski czołg, używając... traktora. *Zdobyłeś rosyjski czołg lub transporter opancerzony i martwisz się, jak to zgłosić? Zachowaj spokój i kontynuuj obronę ojczyzny!* – deklarowała żartobliwie ukraińska Narodowa Agencja ds. Zapobiegania Korupcji (NAZK)[7]. Takie podnoszące morale nagrania to jednak nie jedyna forma oporu spotykana w ukraińskich wsiach i miasteczkach.

Na zachód od Kijowa w liczących przed wojną niespełna 700 mieszkańców Chomutyńcach zmobilizowano się do patrolowania ulic, gdy tylko rozpoczęła się inwazja. Niektórzy nosili kije bejsbolowe, inni broń palną; przechadzając się w tę i z powrotem, mieszkańcy gotowi byli stawiać opór. Taka mobilizacja ludności cywilnej do walki z wrogiem pozornie niemożliwym do pokonania spotkała się z ogromną dumą nie tylko urzędników na najwyższych stanowiskach państwowych, lecz także sołtyski wsi Chomutyńce: *Jestem tak dumna z naszych mieszkańców, nasza wioska jest tak mała, że zastanawiałam się: „Czy ktoś w ogóle będzie chętny patrolować ulice?". Myślałam, że zgłosi się co najwyżej 3 mężczyzn, ale już po pierwszym dniu od wybuchu wojny dostałam 30 zgłoszeń.*[8] W Chomutyńcach duża łąka rozciągająca się wzdłuż rzeki Postołowa zwykle jest miejscem wypoczynku. Mieszkańcy wioski latem się w niej kąpią, a przez cały rok łowią ryby. Po wybuchu wojny znajdowały się tam jednak okopy, punkt kontrolny i podziemne schrony.

Po 24 lutego 2022 r. jednym z obranych przez Ukraińców kierunków ucieczki, poza wyjazdem na zachód, była właśnie wieś. Nie brakowało osób, które uznały, że wyjazd do krewnych jest bezpieczniejszą opcją niż pozostanie w mieście mogącym stać się głównym celem ataków Rosji. *Czuję się bezpieczniej w tym odizolowanym miejscu, nie rozumiem, dlaczego wojsko miałoby marnować czas i amunicję, by tu przyjeżdżać* – powiedziała Anna Martsinkow, która w pierwszych dniach agresji uciekła do wsi położonej 40 km na południe od Kijowa[9]. Wielu Ukraińców jest przekonanych, że w przypadku zamknięcia sklepów to właśnie na wsi można żyć w sposób samowystarczalny – w przeciwieństwie do miast, które potrzebują dostaw żywności z innych części kraju. Niektórzy, tak jak Anna, zdecydowali się tu schronić, ponieważ wiele terenów wiejskich uniknęło działań wojennych w czasie II wojny światowej (choć oczywiście wiele zostało też zdewastowanych).

3 z milionów ofiar

Po rozpoczęciu inwazji rosyjskiej mieszkańcy Motyżyna, miejscowości liczącej przed wojną ok. 1000 mieszkańców, mieli nadzieję, że rakiety i czołgi ominą ich wioskę, tak jak miało to miejsce 8 dekad wcześniej. W pierwszych dniach agresji wielu Ukraińców z Kijowa przybyło do Motyżyna w poszukiwaniu schronienia. Liczba mieszkańców wzrosła z 1000 do 4000 osób. 25-letni Ołeksandr Suchenko przyjechał, aby pomóc matce, Oldze, w pełnie-

Ok. 4,3 mln ha ukraińskiej ziemi uprawia się na dużą skalę, z czego 3 mln znajdują się w rękach zaledwie kilkunastu wielkich firm agrobiznesowych

4 Departament Komunikacji Sekretariatu Gabinetu Ministrów Ukrainy, *The full range of humanitarian demining activities in Ukraine is estimated at USD 37.4 billion, says Denys Shmyhal*, 4.04.2023, https://www.kmu.gov.ua/en/news/povnyi-kompleks-robit-iz-humanitarnoho-rozminuvannia-v-ukraini-otsiniuietsia-v-374-mlrd-dolariv-denys-shmyhal [dostęp: 5.12.2023].

5 F. Mousseau, E. Devillers, *War and Theft: The Takeover of Ukraine's Agricultural Land*, The Oakland Institute 2023, https://www.oaklandinstitute.org/sites/oaklandinstitute.org/files/takeover-ukraine-agricultural-land.pdf [dostęp: 5.12.2023].

6 Tamże.

7 Interfax-Ukrajina, *No need to declare captured Russian tanks, other equipment of invaders as income – NAPC*, 1.03.2022, https://en.interfax.com.ua/news/general/804441.html [dostęp: 5.12.2023].

8 M. Varenikova, *Once Sleepy and Picturesque, Ukrainian Villages Mobilize for War*, „New York Times", https://www.nytimes.com/2022/02/27/world/europe/ukraine-villages-russia-war.html [dostęp: 5.12.2023].

9 M. Chebil, *'Easier to survive outside cities': Ukraine's countryside offers safe haven from Russian invasion*, France24, marzec 2022, https://www.france24.com/en/europe/20220309-easier-to-survive-outside-cities-ukraine-s-countryside-provides-safe-haven-from-russian-invasion [dostęp: 5.12.2023].

niu obowiązków sołtyski i wesprzeć ją w trudnych czasach. Kiedy 25 lutego 2022 r. zaczęto formować lokalne siły obrony terytorialnej, Ołeksandr i jego ojciec, Ihor, wstąpili w ich szeregi. Pozbawieni jakiejkolwiek broni, mężczyźni pełnili dzienne i nocne warty wokół wioski.

Kolumna rosyjskich pojazdów wjechała do Motyżyna wieczorem 27 lutego, gdy próbowano otoczyć Kijów. Tego samego dnia mieszkańcy ponieśli pierwsze straty. Jeden z lokalnych bojowników obrony terytorialnej, mężczyzna o imieniu Leus, stawiał opór, lecz został śmiertelnie ranny. Już w pierwszym dniu okupacji Olha postanowiła ostrzec mieszkańców przed zagrożeniem za pomocą Facebooka. Był to krok wymagający sporej odwagi, ponieważ rosyjscy żołnierze po wkroczeniu do danej miejscowości starają się namierzać przedstawicieli władz lokalnych (w czym pomagają im media społecznościowe), by następnie przekonać ich do współpracy lub zabić, gdy jej odmówią. W 1. połowie marca Suchenkowie zorganizowali konwoje ewakuacyjne z Motyżyna. Olha nadzorowała dostawy żywności i innych niezbędnych towarów, których zapasy jeszcze nie zostały wyczerpane, a jej mąż, Ihor, wziął jedzenie z własnego sklepu i obdzielił nim mieszkańców. Ołeksandr rozdawał lekarstwa.

23 marca Olha i Ihor zostali zabrani przez rosyjskich żołnierzy z ich własnego domu. Tego samego wieczoru sąsiedzi poinformowali przez telefon, że pojmany został także Ołeksandr. Wówczas nikt nie wiedział, co dokładnie działo się z rodziną.

Los zaginionych ujawniono dopiero po odwrocie Rosjan 28 marca 2022 r. Początkowo krążyły plotki – uwolnieni z niewoli mieli słyszeć od rosyjskich okupantów, że ich sołtyska została rozstrzelana. 2 kwietnia żołnierze batalionu ochotniczego „Krym" znaleźli grób z ciałami 4 osób w pobliskim lesie. Szybko zidentyfikowano 3 z nich – byli to Olha, Ihor i Ołeksandr Suchenkowie. Związane ręce i charakter obrażeń wskazywał na tortury przed rozstrzelaniem. Najcięższe odniósł Ołeksandr, którego prawdopodobnie torturowano najdłużej, by wywrzeć presję na jego rodzicach.

W agrokulturę w Ukrainie zaangażowanych jest 72% domowych gospodarstw wiejskich

Klęska wojny sięga wszędzie

Można zastanawiać się, czy podczas wojny życie na wsi jest spokojniejsze lub bardziej przewidywalne od życia w mieście. Czy łatwiej tam przetrwać spowodowany działaniami wojennymi kryzys humanitarny? Anna Martsinkow uważa, że wieś oferuje więcej spokoju i zwiększa prawdopodobieństwo przetrwania dzięki własnej produkcji rolnej, która pozwala osiągnąć samowystarczalność. Liczne historie, jak chociażby ta z Motyżyna, pokazują jednak, że życie na wsi w czasie wojny nie jest wolne od niepewności i tragedii.

IL: voffka offka z Pixabay

Wojna, niezależnie od miejsca zamieszkania, jest dramatem dla ludności jej doświadczającej. Jednym z zagrożeń związanych z życiem na wsi podczas kryzysów humanitarnych jest mniejsza szansa na ewentualną ucieczkę. Transporty dla uchodźców z różnych obszarów Ukrainy zwykle były organizowane z miast, nie z wiosek. Pomimo tego, że część osób zdecydowała się uciec na ukraińską wieś, byli też tacy, którzy ze względu na mniejszą szansę ewakuacji w razie ewentualnego ataku starali się tego uniknąć za wszelką cenę. Ponadto rosyjskim wojskom znacznie łatwiej było kontrolować przepływ osób we wsiach liczących kilkaset mieszkańców niż w ośrodkach miejskich, z których dróg ucieczki było więcej.

Gdy koszmar wojny puka do drzwi naszej ojczyzny, trudno go w jakikolwiek sposób uniknąć. W czasie kryzysów humanitarnych tzw. zwyczajni zjadacze chleba zawsze cierpią najbardziej. Wojna to nie tylko działania militarne, ale przede wszystkim zbiór dramatów pojedynczych jednostek – w tym przypadku ukraińskich rolników, rodziny Suchenków i wielu innych, o których zapewne nigdy nie usłyszymy. Najlepszym sposobem na uniknięcie takich tragedii jest nierozpoczynanie konfliktu zbrojnego. Niestety jako zwykli obywatele rzadko kiedy mamy na to wpływ. Możemy jednak mobilizować się i pomagać sobie na co dzień w czasach pokoju, a także robić wszystko co w naszej mocy, by odsuwać od władzy ludzi, którzy wojny wywołują. ◆

Dariusz Jakubowski

Ukryte głęboko, choć na samym wierzchu – recenzja *Nieprzezroczystych* Agnieszki Pajączkowskiej

Czy warto sięgnąć po *Nieprzezroczyste. Historie chłopskiej fotografii* Agnieszki Pajączkowskiej[1]? Dawno nie czytałem pozycji, która tak rozminęła się z moimi przypuszczeniami, co ostatecznie będzie zawierać. Jest to znakomita książka, wypełniająca niewątpliwą lukę w postaci braku opracowań ludowej historii polskiej od strony wizualnej, bo przecież dotąd większość pozycji w jakikolwiek sposób dotyczących tego tematu zajmowała się właściwie tylko źródłami pisanymi. W przeszłości aktywna na tym polu była m.in. Zofia Rydet, jeśli jednak chodzi o próby ujęcia tego, co przedstawiają fotografie autorstwa ludzi ze wsi, dokumentujące ich życie ich własnymi oczami, nasza literatura do tej pory wykazywała ogromne braki.

Nieco obawiałem się z początku, że z jednej strony historycznа, a z drugiej indywidualna perspektywa zostanie tutaj przesłonięta kulturoznawczym czy też technicznym rozwadnianiem przekazu niezbyt interesującymi detalami, a tymczasem jest to doskonale osadzona w kontekście wielu aktualnych dyskusji pozycja. Krótko mówiąc, spodziewałem się nudnej, przegadanej książki, w której na co drugiej stronie padają nazwiska w rodzaju Rolanda Barthesa lub Susan Sontag czy mnóstwo fachowych terminów. Tymczasem autorka ożywia na moment dla czytelnika ludzi z czarno-białych zdjęć, poznajemy ich rzeczywiste problemy, uczymy się interpretować fotografie i dostrzegać na nich, z pozoru zupełnie zwyczajnych i mało interesujących, zupełnie nowe rzeczy.

Kolejnym uderzającym wrażeniem płynącym z lektury jest ogrom pracy, którą Pajączkowska włożyła w zbieranie materiału. To całe miesiące kwerendy, wyjazdów w miejsca, gdzie wykonano omawiane drobiazgowo, ale zawsze w szerokim kontekście zdjęcia, setki rozmów z ich autorami lub potomkami, dziesiątki przeczytanych książek. Nie byłoby *Nieprzezroczystych*, gdyby nie dająca się wyczuć niemal na każdej stronie pasja i zaangażowanie w odkrycie czegoś, co często jest ukryte głęboko, choć na samym wierzchu analizowanych fotografii.

Choć Agnieszka Pajączkowska pod koniec książki nazwała swoje dzieło esejem, to chyba trafniej byłoby je określić zbiorem miniesejów ułożonych w porządku chronologicznym od pierwszych zachowanych chłopskich fotografii aż po czasy upadku PGR-ów. Każda z tych krótkich prób poświęcona jest

1 A. Pajączkowska, *Nieprzezroczyste. Historie chłopskiej fotografii*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023.

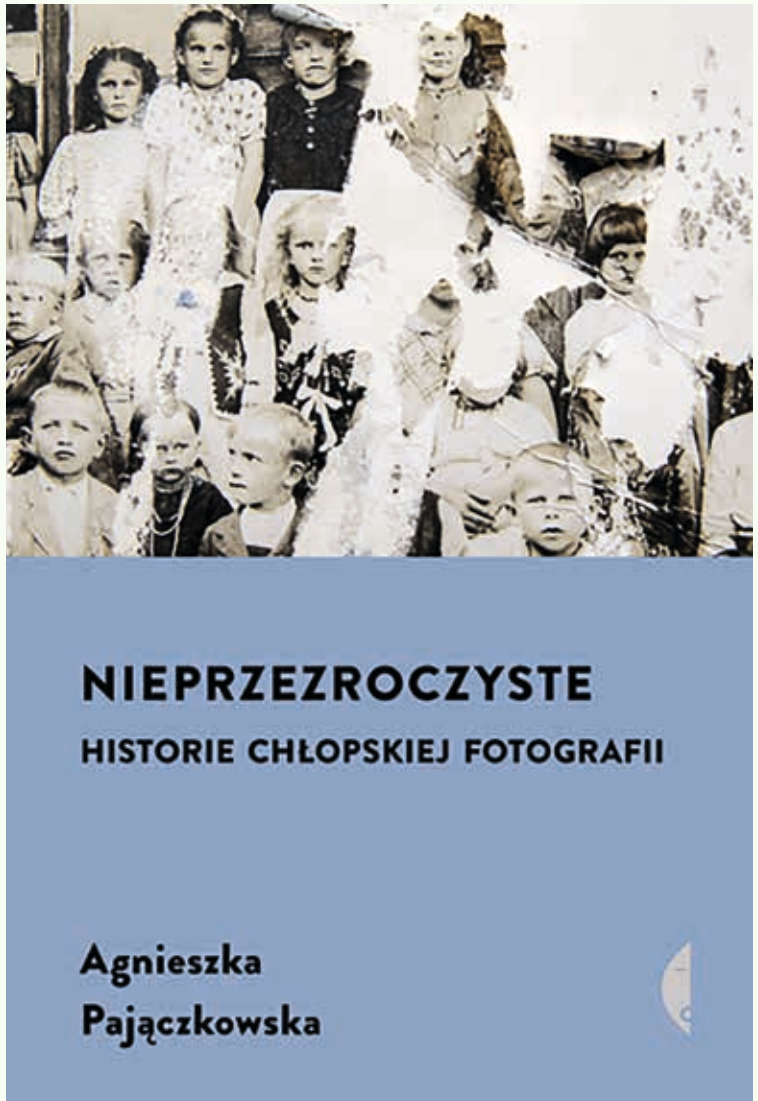

IL: Paweł Miech za pomocą AI

Możemy nauczyć się, jak patrzeć na fotografie chłopskie, to znaczy dostrzegać to, co na nich widać i czego nie widać, a co jednak na nich jest

jednej fotografii, jednej postaci, rodzinie, jednemu autorowi zdjęcia, wydarzeniu czy zagadnieniu z dziedziny wizualnej dokumentacji losów polskich mieszkańców wsi. Jestem całkowicie urzeczony tym, jak wspaniale z każdego takiego jednostkowego punktu można obserwować całość czy przynajmniej jej obraz i ogólniejsze spostrzeżenia. Możemy zatem się nauczyć, jak patrzeć na fotografie chłopskie, tzn. dostrzegać to, co na nich widać i czego nie widać, a co jednak na nich jest. Zgodnie z założeniami bardziej współczesnych odmian teorii feministycznej nie brakuje tutaj również perspektywy kobiet, ale w duchu feminizmu intersekcjonalnego, czyli takiego, który rozpoznaje nakładające się na siebie nierówności, tj. opowiada o losach osób uciskanych podwójnie, jak chłopek czy wiejskich Żydów. Autorka zabiera też głos w sprawach istotnych w dyskusjach będących niejako obok debaty na temat chłopskiej przeszłości Polski, np. kwestii polskich Żydów i tego, jak Polacy im zawinili, z drugiej strony przypomina o bolesnej historii rzezi wołyńskiej. Sporo miejsca zajmują w książce losy tych autorów chłopskich fotografii, których nazwiska znamy, w tym m.in. Józefa Ulmy, co pozwala osadzić opowieści o tych zdjęciach w kontekście wciąż aktualnych wydarzeń, powracających niekiedy po wielu dziesięcioleciach do sfery publicznej jako element polityki historycznej. Niekiedy więc jeden obraz jest tutaj tylko przyczynkiem do znacznie szerszych rozważań. Przykładem może być fotografia mieszkańców Gniewczyny, dużej wsi, w której w 1942 r. doszło do zbrodni dokonanej przez Polaków na miejscowych Żydach. Pajączkowska, wiedząc o tej historii, patrzy zupełnie inaczej na zdjęcie z tej miejscowości – zastanawia się, czy znajdują się na nim osoby odpowiedzialne za zbrodnię. W wielu innych miejscach książki opowiada jednak, jak odwrotny proces, tj. domyślanie się historii z samych fotografii, potrafi prowadzić na manowce.

Cały tak popularny w ostatnich latach w literaturze społecznej nurt ludowy jest w książce obecny w formie cytatów, dowiadujemy się więc, że Agnieszka Pajączkowska jest prawdziwą pasjonatką tematu. *Nieprzezroczyste* to m.in. odpowiedź na ten ostatnio dość często stawiany zarzut, że literatura tego nurtu (bo chyba tak już możemy o nim mówić) zajmuje się dawnymi czasami, a nie stawia sobie pytania, co się stało, że w ogóle jest potrzebna. Wcześniej chyba tylko *Prześniona rewolucja* Andrzeja Ledera[2] i może w mniejszym stopniu *Fantomowe ciało króla* Jana Sowy[3] stanowiły próbę zmierzenia się z tym tematem, natomiast wydaje się, że w dalszym ciągu bardziej masowa świadomość nie skupia się na procesach, jakie zaszły w nas, gdy jako społeczeństwo zmieniliśmy się z potomków chłopów w ludzi, którzy często nie chcą przyjąć do wiadomości swojego prawdziwego pochodzenia czy uważają, że dzisiaj to nie ma żadnego znaczenia. Punktem ciężkości narracji snutych przez autorkę nie jest jednak chłopska niedola i beznadzieja egzystencjalna, o których na ogół wolimy nie pamiętać, a raczej bogactwo doświadczeń wiejskiego życia.

Nieprzezroczyste Agnieszki Pajączkowskiej nadają barwy tym starym fotografiom, sprawiając, że osoby i miejsca na nich ukazane stają się nam bliskie, że odnosimy je do swoich biografii, przykładamy ich miarę do własnych historii. Interesujące, że początkowo projekt stypendialny autorki miała zwieńczyć wystawa, lecz niestety plany te pokrzyżowała pandemia. Może jednak tak jest lepiej, bo zamiast tego w ramach projektu Pajączkowska stworzyła książkę – nie zawaham się użyć tego słowa – wybitną: dobrze napisaną, interesującą i pouczającą. Jeśli odwołuje się do akademickich rozważań, to bardzo oszczędnie i trafnie, jeśli wspomina o aktualnych dyskusjach, to tam, gdzie istotnie widać luki, wreszcie jeśli czytelnik może sam mieć pytania i wątpliwości, odpowiada na nie lub w najgorszym razie wprost przyznaje się do niewiedzy. *Nieprzezroczyste* to książka osobista i, choć to dzisiaj nieco nadużywane określenie, czuła. Jest to również dzieło otwarte, które być może doczeka się kontynuacji. Autorka w dalszym ciągu czeka bowiem na zgłoszenia ludzi dysponujących fotografiami dokumentującymi życie na wsi oczami jej mieszkańców, którzy swoimi opowieściami być może uzupełnią luki w wiedzy, zrewidują nieścisłości, opowiedzą nowe historie, rozpoczną nowe wątki. ◆

2 A. Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014.

3 J. Sowa, *Fantomowe ciało króla. Peryferyjne zmagania z nowoczesną formą*, Wydawnictwo Universitas, Kraków 2011.

Równość
nr 3/2023

Wydawca
Stowarzyszenie im. Tadeusza Regera
KRS 0000333135
stowarzyszenieregera@gmail.com
www.rownosc.eu

Adres wydawcy:
ul. Mieszka I 4/5, 43-300 Bielsko-Biała
redakcja@rownosc.eu

nakład 2000 egzemplarzy
drukarnia: JW PROJEKT Jacek Wiśniewski

Materiał sfinansowany
przez Nową Lewicę

LEWICA

Redakcja Równość

Redaktorka naczelna
Katarzyna Gasparska

Sekretarz redakcji
Paweł Miech

Zespół redakcyjny
Adam Konieczny
Agnieszka Lamek-Kochanowska
Mateusz Merta
Barbara Słania
Maciej Szlinder

Autorzy/ki
Filip Górski
Dariusz Jakubowski
Anna Jurczyk-Miżejewska
Bartosz Klimas
Agnieszka Pietrzak
Adrianna Zipper

Korekta
Agnieszka Pietrzak
Michał Pytlik

Projekt graficzny
Mira Larysz

Grafika na okładce
Adobe Stock: @Maciek

Opracowanie graficzne i skład
Jarosław Hess

Współpraca
Dariusz Lamek-Kochanowski

Kontakt
redakcja@rownosc.eu

Więcej tekstów znajdziesz na:
www.rownosc.eu

Przeczytane? Podaj dalej!

Podziel się swoim egzemplarzem z sąsiadką, dobrym kumplem, koleżanką z pracy, szefową, nauczycielem, sprzedawcą w Twoim sklepie. Pożycz mamie, bratu, tacie, siostrze i w końcu daj nieznajomej osobie na ulicy. Niech ta treść dotrze do jak największej liczby osób!